ROK I. Nr. 34. 15 września 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE

GOTÓWKĄ 1000 ZŁ NAGRODY



Ciekawa jestem, czy mama posłała moją fotografię do konkursu? (Fot. Dorys).

Co słychać na świecie?

Prasa niemiecka okazuje w ostatnich czasach żywe zainteresowanie się Polską. Przedmiotem obszernych komentarzy jest tu przedewszystkiem sprawa mającej się rzekomo odbyć rekonstrukcji gabinetu. W obszernej korespondencji z Warszawy „Berliner Tageblatt" dochodzi do wniosku, iż rząd „grupy pułkowników" jest zachwiany i że wzmagają się natomiast wpływy konserwatystów. Zdaniem „Vossische Ztg." podjęto silną akcję w kierunku przywrócenia wpływów Sejmu, o co zabiegają głównie partje prawicowe, deklarujące się rzekomo za zwołaniem Izby na sesję nadzwyczajną; zamiary te mogą być udaremnione wskutek braku większości, rozstrzygającym natomiast czynnikiem może się okazać grupa stronnictw lewicy, zwłaszcza P. P. S. i „Wyzwolenia", które wszelako nie uzgodniły poglądów swych na tę sprawę. Ostateczna decyzja odnośnie do wszczęcia walki z dyktatorskiemi rządami Marszałka miałaby zapaść na mającym się odbyć w drugiej połowie miesiąca Zjeździe socjalistycznym.

Innem zagadnieniem, którem interesuje się opinja niemiecka jest nawiązanie stosunków pomiędzy dwoma narodami. „Berliner Tageblatt, upatruje w przemówieniu ks. Janusza Radziwiłła (będącego zdaniem pisma, kandydatem na ministra Spraw Zagranicznych) z okazji pobytu parlamentarzystów francuskich, wyraźną niechęć do Niemiec. Stąd wniosek iżby Polska nie chciała traktatu handlowego, którego obawia się tak samo, jak armji i gazów niemieckich (?!).

*

Terorystyczna działalność organizacyj ukraińskich z U. O. W. (Ukraińską Organizacją Wojskową) na czele do głębi oburzyła opinję publiczną. Zamachy bombowe, które, za wyjątkiem strasznej katastrofy w lokalu biura Targów Wschodnich, nosiły charakter raczej manifestacyjny, smutnie świadczą na niekorzyść Ukraińców. Radzi jesteśmy, iż goście nasi — parlamentarzyści francuscy i delegaci handlowi z Japonji — którzy mieli możność stwierdzenia na miejscu, jak szeroką potrafimy okazać tolerancję dla mniejszości, darząc je równemi prawami i popierając nawet organizacje narodowościowe, z pewnością podzielają nasze oburzenie.

*

Podczas gdy Powszechna Wystawa Krajowa, będąca piękną i doskonałą syntezą naszego dorobku, nauczyła wiele narodów, których przedstawiciele odwiedzili tę interesującą imprezę, iż Polska jest istotnie państwem o mocarstwowem znaczeniu, wschodni nasi sąsiedzi usilują wmówić szerokim masom zahukanej przez rządy sowieckie ludności, iż przedmurze polskie wkrótce nie ostoi się przed falą rewolucji. Dowodnie o tem świadczą niewiarygodne brednie, które o nas rozpisuje prasa sowiecka, jak np. wyczerpujący artykuł, który wyczytaliśmy przed kilkoma dniami w „Trybunie Radzieckiej". Jest tam mowa o powodzeniu masowych demonstracyj, które miały rzekomo odbyć się w całym kraju z okazji „czerwonego dnia". Jest i o wzrastającej fali strajków, podczas których tworzone są „komitety walki", o strajku bankowców w Warszawie i w Łodzi, o barykadach w Pabjanicach, o rozkładzie przemysłu wojennego przez przenikanie agitacji komunistycznej i t. d. i t. d. Najciekawsze ustępy, poświęcone są nędzy wśród chłopów, którzy podnoszą się do walki o rząd robotniczo chłopski, (zorganizowawszy się na razie w kołach „Samopomocy"). Wzrost wpływów rewolucyjnych na polskiej wsi witają nasi sąsiedzi, jako objaw wysunięcia się ruchu chłopskiego w Polsce na czoło rewolucyjnego ruchu włościańskiego w Europie (?!).

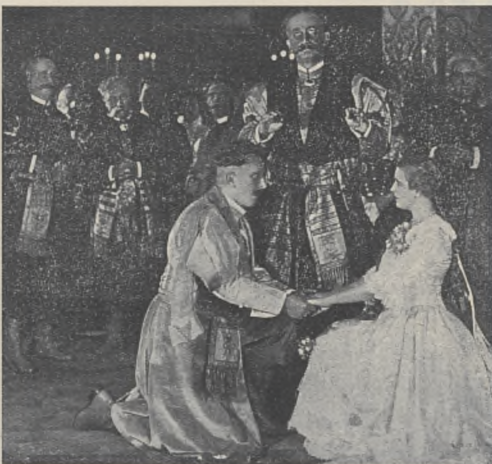
*

Ciekawym epizodem obrad genewskich jest trudność, w jaką zabrnęli pacyfiści angielscy przy omawianiu sprawy rozbrojenia na morzu. Dotyczy to zwłaszcza stosunku z groźnym rywalem Anglji — Stanami Zjednoczonemi (również pacyfiści!), których przedstawiciele wręcz oświadczają, iż niezależnie od wyniku rozmów z Anglją... 15 uchwalonych krążowników będzie wybudowanych. A Japonja? — zapytuje „Berlingske Tidende" — co będzie z Japonją, która dopiero co przyjęła szeroki plan morski? A Francja, a Włochy... Omawiając powyższe zagadnienie „Journal des Debats", nawiązując do ewakuacji Nadrenji, sprowokowanej przez Anglików w Hadze i do niechybnego niebezpieczeństwa, grożącego z tego tytułu sprawie pokoju, zaleca, by minister francuski nie starał się przelicytować Mac Donalda w kierunku rozbrojenia; sprawy bowiem obrony narodowej nie można rozwiązywać podczas dyskusji na zebraniach publicznych.

*

Przyznać należy naogół, iż niechęć do Anglików stała się powszechnem zjawiskiem wśród większości narodów. Zawzięcie zwłaszcza zwalczają ich Włosi czy to z powodu polityki wytkniętej podczas obrad w Hadze, czy też obecnie wobec, chociażby, wypadków w Palestynie. Wypadki, zdaniem Włochów, rozwijały się w Palestynie tak powoli i stopniowo, że każdy mógł przewidzieć ich skutki: Żydzi, którzy od wieków mieli pod panowaniem Turków dostęp do „ściany płaczu", narażeni zostali dopiero pod opieką Anglików na rzeź. Zauważyć należy przy sposobności, iż niechęć Włochów w tej sprawie wynika z ich niezadowolenia z podziału kolonji podczas pokoju wersalskiego.

„HALKA" W TEATRZE WIELKIM



Teatr Wielki rozpoczął sezon tegoroczny wystawieniem „Halki", opery Stanisława Moniuszki. (Fot. J. Malarski)



Kapitan Lehmann, dowodził Zeppelinem podczas ostatniego etapu podróży z Lakehurst do Friedrichshafen.



Przewodniczącym po siedzenia Ligi Narodów wybrano dr. Guerrero, przedstawiciela San Salvador.



Były naczelnik G. P. U. na Dalekim Wschodzie, Bubnow, został mianowany komisarzem oświaty w Bolszewji.



Anatol Łunaczarski, b. komisarz oświaty w Moskwie ma objąć, według pogłosek, ambasadę sowiecką w Londynie.



Reżyserka paryskich teatrów p. Germaine Dulac otrzymała krzyż francuskiego legjonu zasłużonych krajowi.



Najmłodszą gwiazdą kinową na świecie jest 5-letni Bobby Buras, występujący w filmach niemieckich.



W ubiegłym tygodniu odbyło się w Warszawie posiedzenie związku miast, które zaszczycili swoją obecnością delegaci Anglji, Belgji, Francji, Hiszpanji, Holandji, Niemiec i Szwajcarji. (fot. J. Malarski).



Uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego i wmurowanie aktu erekcyjnego z okazji rozpoczęcia budowy na Kamionku kościoła Matki Boskiej Zwycięstwa. Uroczystość celebrował J. E. Ks. Kardynał Kakowski w asyście ks. bisk. Gala i Szlagowskiego. (fot. J. Ryś).



Zapalony entuzjasta zbliżenia Anglji z Sowietami, lord Beaverbrook wyjechał do Moskwy. Ciekawe, czy przywiezie inne wrażenia, niżli amerykanin, Jesse Wright, który przecież chciał zrobić business, a po zwiedzeniu Rosji uznał to za niemożliwe...



Konferencja Genewska obraduje już od kilku dni. Angielska delegacja dostarcza masę atrakcyj, bo oto oprócz mów Mac Donalda, propozycyj w sprawie rozbrojeń, interpelacji w sprawie mniejszości i tp. wysłała w gronie swych przedstawicieli pierwszą kobietę, Mrs. Swanion.



Krwawe zaburzenia, wszczęte przez Arabów w Palestynie zostały na razie uniemożliwione, dzięki energicznym zarządzeniom władz. Na ilustracji naszej — rewizja podejrzanego Araba na ulicach Jerozolimy.



Sensacyjne zawody hydroplanów o puhar Schneidera zostały zakończone zwycięstwem Anglików. W górnym rogu naszej fotografji, przedstawiającej włoski aparat „Macchi" wizerunki zwycięzców — anglika, Waghorna i włocha, Monti.

Na plaży miljonerów

W NAJWESELSZEM MIEJSCU EUROPY

(Korespondencja własna „7 DNI").

Deauville zdobywa się na szczyty pomysłowości w kaptowaniu serc i... kieszeni miljonerów oraz najprzedniejszej elity, już nietylko z Europy, ale i z drugiej półkuli świata.

Cudowna plaża otaczana jest jakby ciągłą łaską Opatrzności, która sprawia, że w Deauville zawsze jest pełno słońca. Cała plaża skąpana w kwiatach o jakich nam się nie śniło; nad morzem kabiny, podobna do roskosznych buduarów. Moc atrakcji, trwających od rana do zmierzchu — golf, polo, regaty, tennis, a co najważniejsze wyścigi konne — wszystko to pozwala przynajmniej przez te parę tygodni, jakie się spędza w Deauville, zapomnieć o... planach Younga i niepowodzeniach w Hadze.

Wyścigi w Deauville mają już swoją ustaloną światową sławę. Ściągają one amatorów totalizatora z całej Europy i z drugiej strony Atlantyku. Główna wygrana sięga 800.000 franków. Ale jeszcze i nie one są magnesem Deauville.

Jest nim kasyno gry, w którem przy zielonych stolikach, przy „dziewiątce", łudzą się jedni, że im los dopisze, a drudzy... z fantazji wypróżniają kieszenie z setek tysięcy franków. Najmilszymi gośćmi są Amerykanie. Ktoby z nich przejmował się przegraną? Przeciwnie, do stolików, przy których się gra, dosuwa służba drugie stoliki, stawia na nich nieograniczoną ilość butelek szampana. Gra powoli słabnie, a ludziom oczy zachodzą mgłą. W pewnej chwili zaczyna się istna orgja... Słychać tylko muzykę, okrzyki rozochoconych graczów i wystrzały butelek szampana.



Kasyno w Deauville. (Wide World)

Pozatem Deauville ściąga w sezonie kupców i amatorów koni, które tu biegają. Są to przeważnie Argentyńczycy, którzy za stosunkowo marne konie płacą niebywałe sumy: oto niedawno naprzykład jeden z takich amatorów zapłacił za konia 600.000 franków. Oczywiście w sumie tej nietyle mieści się wartość konia, ile fakt, że biegał on w Deauville, co jest wabikiem reklamowym za Oceanem

Zasadniczą cechą różnojęzycznej rzeszy gości jest chęć imponowania każdemu zosobna i wszystkim po kolei.

Oto naprzykład wśród tłumu spacerujących na „strandzie" pojawiła się któregoś dnia pewna wytworna dama w stroju ograniczonym do... przepaski. Ekscentryczkę zaaresztowano, mimo gwałtownego oporu. Gdy ją wylegitymowano — okazało się, że jest żoną jednego z największych przemysłowców z Belgji.

Słynny malarz japoński, Fudżita, lubi czarować spacerujących olśniewającym strojem wschodnim i nosi bransoletki oraz olbrzymie kolczyki.

Wielce poważna lady piastuje na ręku małpę, a inna popisuje się wężem (oczywiście nieszkodliwym).

Czego tu nie wymyślą, na tej kwiecistej plaży — jedno aliści jest stare, jak świat, to powszechnie uprawiany flirt, któremu oddają się i starzy i młodzi — kto żyw...

Anatol Gwoździcki.



Popularna gwiazda teatrzyków paryskich Mistinguette co roku spędza swój urlop na plaży miljonerów (na lewo)



Podobno sól morska również skutecznie pomaga na tłuszcz jak parafineum Spotkanie tak „wysmukłej" osoby nie jest w Deauville rzadkością (na prawo)



Przeciąganie się liną jest jedną z najbardziej ulubionych zabaw dzieciarni na plaży. (The New Jork Times)

Soliman-el-Kanani

Groźny i niepokojący był zmierzch owego dnia nad Bosforem. Niebo zaległy ciężkie chmury o dziwacznych, niewidzianych kształtach, w których biegli wróże rozpoznawali zwalczające się wzajem potwory zaziemskie. Z pod strasznych ich cielsk wychylał się dysk słońca, dotykający już powierzchni wód, ale przesłonięty mgłą i jakby drżący. A barwa jego nie zapowiadała nic dobrego. Cóż za nieszczęście miało się zwalić na świat? Promienie zachodzącej gwiazdy dziennej były czerwone, niby żywa krew. Utonęły niebawem w tej posoce świetlnej najeżone groźnemi basztami mury Stambułu. Pogrążyły się w niej dachy domów i meczetów. Purpurowa pożoga zachodu rozlała się po całem mieście, powlekając jaskrawą czerwienią niepokalanie białe marmury At Majdanu i zielony bronz Wężowego Obelisku i dostojną złotą kopułę Aja-Sofji. Zanurzyły się w krwawej powodzi nawet ogrody Pery i cudne pawilony Ildyz-Kiosku i dalekie zarysy skalistego pobrzeża Skutari.



Soliman-el-Kanani-ben-Selim

Z niezliczonych minaretów rozebrzmiały tymczasem przeciągłe nawoływania muezinów i prawowierni klękali przed meczetami, wznosząc dłonie do góry i mrucząc modlitwy. Rozległy plac Aja Sofji również zaroił się od postaci. Tu jednak nikt nie klęknął jeszcze, nikt nie wzniósł ramion ku niebu, bo w górze nie odezwał się dotąd głos muezina.

Ludzie wpatrywali się w szczyt wieżycy zdumieni. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się dotąd, by duchowni sędziwej świątyni uchybili rozkazom Koranu. Lecz oto na szczycie ukazała się siwobroda postać, odziana w zielony płaszcz i tłum zebranych zaszemrał z podziwu. Jakto? Czyżby sam szeikul-islam miał dziś ich wzywać na modły?

A starzec przemówił w tej chwili i wszyscy usłyszeli jego słowa, bo cały plac zaległa naraz niema cisza.

— Módlcie się, o prawowierni! — wołał. Módlcie się, gdyż porzucił nas wielki władca. Padyszach nie żyje! Umarł, umarł sułtan Soliman-el-Kanani ben Selim!



Roksolana, faworyta Solimana Wspaniałego.

W tłumie rozległy się jęki i bolesne szlochania. Zapomniano o modłach. Wszystkich ogarnął szał rozpaczy. Ludzie zrywali sobie z głów barwne zawoje i krzycząc przeraźliwie posypywali głowy popiołem. Wieść o zgonie umiłowanego sułtana rozszerzyła się po całem mieście lotem błyskawicy. Wprędce też z mostu zawieszonego nad cieśniną Złotego Rogu poczęły nadbiegać hordy przerażonych, półnagich mieszkańców Pery. A na ulicach i placach stolicy pojawiły się nagle straszne postacie obłąkanych derwiszów, którzy wyjąc dziko i tocząc krwią nabiegłemi oczami ranili sobie ciało uderzeniami ostrych jak brzytwy sztyletów.

Takim żalem powszechnym przyjęto w stolicy Turcji żałobną wieść o zgonie sułtana Solimana Wspaniałego, którego Allah raczył powołać do siebie z pod murów węgierskiego miasta Szigath.

Długie i sławne było panowanie Solimana, któ-



Pochód Solimana Wspaniałego przez ulice stolicy poprzedza 12 halabardzistów. Bogata świta kroczy za swym władcą. Na drugim planie, za obeliskiem, posągi Apollina, Djany i Herkulesa, sprowadzone w r. 1526 z Budy. Rycina nasza jest reprodukcją ze sztychu współcz. Coeck v. Aelsta.

rego tak poddani jak i wrogowie uczcili mianem „Wspaniałego". I słusznie. Toż trzy części świata — Europa, Azja i Afryka drżały na samo wspomnienie o żelaznej potędze wojsk wielkiego sułtana. Drżały, a jednocześnie szanowały go jako przeciwnika o charakterze niezmiernie prawym i rycerskim.

Surowy dla przestępców, brzydzący się zdradą, nieznający trwogi, Soliman istotnie na ten tytuł zasługiwał. Był mądrym budowniczym swego państwa i przewidującym prawodawcą. Półwiekowe blisko jego rządy posunęły daleko granice Turcji i dały skarbowi otomańskiemu nieprzebrane bogactwa, w postaci łupów wojennych oraz danin, przysyłanych corocznie do Stambułu przez podbite lub zagrożone podbojem narody. Nikt bowiem z sąsiadów ówczesnego imperjum tureckiego nie był na tyle potężny, aby stać się groźnym dla wielkiego Solimana.

A przecież epoka owa, koniec pierwszej i prawie cała druga połowa szesnastego wieku, obfitowała w mądrych i walecznych monarchów. Potężny Akbar sprawował władzę nad cesarstwem Mogołów w Indjach, w Persji panował przebiegły szach Izmael, Wenecją rządził słynny ze swej sprawności dyplomatycznej doża Gritti, w Polsce królował pomyślnie Zygmunt I-szy, a na Stolicy Piotrowej zasiadał przemądry papież Leon X.

Ale wszyscy ci władcy przedewszystkiem miłowali pokój, podczas, gdy Soliman był żywem wcieleniem wojowniczego ducha Otomanów, tego samego, co poprzez skruszone mury Bizancjum i krwawe zwłoki ostatniego cezara Porfirogmety, na tron imperjum wschodniego wprowadził Mahometa Zwycięzcę.

Soliman był nieodrodnym potomkiem tego założyciela dynastji Otomanów. Przerósł go nawet i zaćmił swą sławą. Podwoił wszakże obszar swego państwa, w ciągu całego długiego panowania przyłączając doń co roku nowe ziemie. A każdy jego zamiar przytem wieńczyło niezmienne powodzenie, bo wielki ten sułtan był prawdziwym ulubieńcem szczęścia. Gdy wyruszał na wojnę, to żołnierze zawczasu już zaopatrywali się w trzosy na zdobycz. Nie wątpili w zwycięstwo. Przecież wiedzieli, że miecz ich padyszacha niepowodzeń nie zna.

Ileż to razy na postojach, kiedy w pełnych barwnych obozach namiotów zapłonęły wesołe ogniska, starsi i doświadczeńsi towarzysze broni zwycięskiego sułtana mówili z przekonaniem młodym, nowozaciężnym wojownikom:

— Soliman wygra tę wojnę. On zawsze wygrywa. Urodził się przecież Zwycięzcą i muszą go słuchać nawet złe dżiny.

A gdy mało jeszcze znający swego władcę rekruci, wzięci do szeregów z głębi Azji, z dzikiego Kurdystanu czy z pustyń arabskich, dziwowali się i z niedowierzaniem słuchali o szczęściu padyszacha, wówczas stare wygi wojenne odpowiadały im jednem tylko zdaniem:

— On jest pod opieką dziesiątki.

Dziesiątki? Teraz już wszyscy wiedzieli o co chodzi. Rozumiał to i nawpół baranią skórą okryty dziki Kurd i melancholijny Arab i ciężkozbrojny Pers. Na całym Wschodzie bowiem wierzono uparcie, że człowiek znajdujący się pod magicznym wpływem dziesiątki jest synem szczęścia.

Nikt zaś z tych ludzi nie mógł wątpić we wpływ dziesiątki na życie sułtana. Ich Soliman urodził się przecież w dziesiątym wieku Hedżiry, według kalendarza muzułmanów, a był dziesiątym sułtanem z dynastji otomańskiej. Jakaż twierdza mogła się oprzeć wodzowi, cieszącemu się tak wyraźną łaską Nieba? Łaska ta zresztą wyrażała się w samem jego imieniu, które było symbolem mądrości i potęgi zarazem. Czyż Soliman nie był imiennikiem tego wielkiego króla izraelskiego, którego pamięć czczą po dziś dzień wszystkie narody Wschodu?

Czcili ją i wojownicy padyszacha. Lubili więc, w zastosowaniu do swego wodza, powtarzać słowa, które z ust Salomona usłyszała niegdyś piękna Balkis, królowa Saby:

— W imię Boga najlitościwszego ostrzegam was Nie ośmielajcie się podnieść przeciwko mnie oręż, lecz ukorzcie się i pocznijcie wyznawać wiarę prawdziwą.

Korzyli się też przeciwnicy jeden za drugim i cień dwurogiego symbolu Islamu legł wreszcie na olbrzymich obszarach trzech kontynentów, a miłość ludu dla niezwyciężonego sułtana wzmagała się coraz więcej, przybierając pozory bałwochwalczego kultu.

Soliman dobrze sobie na tę miłość zasłużył. Już w r. 1520, gdy objął tron, pierwszym aktem jego była łaska najwyższa, którą zadziwił wszystkich. Ojciec jego, Selim, zwany Ponurym, rządził surowo, za lada przewinieniem pozbawiając swych dostojników całego mienia. Soliman postąpił inaczej. Powróciwszy z Magnezji, gdzie przez lat dziesięć był namiestnikiem i dopełniwszy w meczecie Ejuba tradycyjnej ceremonji przypasania przechowywanego tam miecza Proroka, zwrócił niezwłocznie skonfiskowane majątki prawym posiadaczom. Niesłychana ta na owe czasy wspaniałomyślność odrazu pozyskała nowemu sułtanowi oddanych zwolenników. Ale Soliman pokazał w ślad za tem, że umie być surowym. Na sposobność zaś długo czekać nie potrzebował.

Oto Węgrzy, sądząc, że cała uwaga nowego sułtana skupi się na rządach wewnętrznych, odmówili zapłacenia mu zwykłego haraczu. Soliman wówczas, w ciągu niebywale krótkiego czasu zebrał olbrzymią armję i, powierzywszy rządy wielkiemu wezyrowi Ibrahimowi-baszy, runął na Węgry, niszcząc cały kraj i paląc sioła. Pod gwałtownem natarciem jego lotnych hord cofnęły się wojska węgierskie, padły warowne miasta Szabac, Zemlin i Belgrad, a Soliman wydał rozkaz odwrotu wtedy dopiero, gdy u stóp jego złożono należną daninę.

Ale państwo Św. Stefana niejeden raz jeszcze sprawiło kłopot Solimanowi. W r. 1526 powstaje nowy zatarg i znowu padyszach uderza na Węgry, których król, Ludwik II, ginie na polu bitwy pod Mohaczem. W trzy lata potem zaś rozterka wewnętrzna stworzyła nowy powód do rozgromienia nieszczęśliwego kraju.

Jan Zapolyi, obwołany królem przez swych zwolenników, a zwalczany gwałtownie przez wrogów, którzy gotowi byli poświęcić wszystko, aby niedopuścić do objęcia tronu przez nienawistnego kandydata, zwrócił się o pomoc do tureckiego sułtana. Posłowie węgierscy znaleźli go w Azji Mniejszej, gdzie Soliman uśmierzał bunt plemion arabsko-syryjskich. Zostali przezeń przyjęci nader łaskawie, gdyż bystry umysł Solimana odrazu obliczył korzyści, jakie da mu pomoc udzielona Zapolyi'emu. Ze zwykłą więc nieporównaną sprawnością, wojska tureckie wyruszyły niebawem nad Dunaj. Po krótkiem oblężeniu padł Budapeszt, a w ciągu kilku dni następnych Soliman wydał Janowi Zapolyi'emu swój firman sułtański, zatwierdzający jego godność królewską i nadający mu Węgry tytułem lenna, za które winien był wpłacać skarbowi otomańskiemu haracz coroczny, w sumie 60.000 dukatów.

W ciągu całego panowania Solimana wojska jego ani jednego roku bodaj nie gnuśniały w bezczynności. W r. 1534 padł pod ich natarciem bogaty Tabryz — stołeczny gród szacha Persji, a jednocześnie inne hordy wojowniczego sułtana zajmowały Bagdad — miasto Khalifów. W tym samym też roku flota Solimana owładnęła dalekim Tunisem, zdobywając tam dla swego władcy nieprzebrane skarby.

Zajęty ciągłemi podbojami Soliman, nie zapomniał również o wewnętrznej organizacji swego ogromnego państwa. Był on mądrym prawodawcą, protektorem handlu i rolnictwa, jak również hojnym bez miary opiekunem uczonych i poetów. To też, choć pod koniec życia wielki sułtan popełnił wiele okrucieństw i niesprawiedliwości pod wpływem swej faworyty Roksolany, wierność i miłość poddanych towarzyszyły mu niezmiennie aż do owego dnia, kiedy z pod murów miasta Szigeth nadeszła do Stambułu żałobna wieść o jego nagłym zgonie.

Jerzy Marjusz Taylor.

O orderach zasługi rolniczej

Dążąc do podniesienia rolnictwa, niektóre z państw — a więc Francja, Hiszpanja, Portugalja i Włochy — ustanowiły specjalne odznaczenia w postaci orderów, przeznaczonych dla zasłużonych w tej dziedzinie obywateli.

Francuski order, zwany Ordre du Mérite Agricole został ustanowiony w r. 1883 i posiadał pierwotnie jedną klasę, kawalerów, których liczba nie mogła przenosić 100, a nowe mianowania — 300 w ciągu roku. Klasa druga, oficerska została ustanowiona w r. 1887, przyczem podniesiono ilość kawalerów do 2000, a ilość oficerów określono na 303. Nowy dekret z r. 1897 podniósł ilość oficerów do 1500, postanawiając jednocześnie, iż przynajmniej 15 lat pracy związanej z rolnictwem uprawnia do posiadania odznaczenia w stopniu kawalerskim, po upływie zaś 4-ch lat można było zostać oficerem. Wyjątki czyniono jedynie dla odznaczonych Krzyżem Legji Honorowej lub w uznaniu wybitnych nadzwyczajnych zasług. Komandorja wreszcie została ustanowiona w r. 1900 z ograniczeniem ilości odznaczonych pierwotnie do 33, później zaś, w związku z Wystawą Powszechną do 103. Komandorem mógł zostać oficer po 3 latach lub wyjątkowo — komandor Legji Honorowej *).

Niezależnie od powyższego orderu, ustanowiono w r. 1883 medal honorowy dla leśników, nadawany za 20 lat nieskazitelnej służby oraz czyny poświęcenia ich odwagi, wynikające z zawodu.

Włosi nie posiadają wprawdzie specjalnego orderu dla rolników. Dziedzina rolnictwa jest traktowana na równi z przemysłem i handlem, dla których odznaczenie zostało ustanowione w r. 1901 w postaci orderu „rycerzy pracy" (I cavalieri del lavoro). Order posiada jedną klasę, a ilość mianowań nie może przekraczać w ciągu roku osiemdziesięciu.

wiono w r. 1903 wspólny order zasługi rolniczej i przemysłowej: Orderi Civil de meri agricola et industrial, z podziałem na 3 klasy: wielkiej odznaki, komandorji i oficerskiej.

W Hiszpanji wreszcie ustanowiono order zasługi rolniczej o trzech klasach w r. 1905.

Rozpatrzymy zkolei, jak się przedstawia sprawa odznaczeń za zasługi rolnicze w naszym kraju.

Jak dotychczas, jedynie Order Odrodzenia Pol-

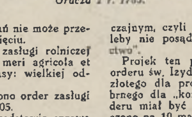
Podobnie dzieje się w Portugalji, gdzie ustano-

ski (p. 7 art. 9 ust. z dn. 4 lutego 1921 r.) jest tem odznaczeniem. Mając aliści na względzie, iż order ten nie wyróżnia zasług na polu rolnictwa, pomyślano przed paroma laty o stworzeniu specjalnego odznaczenia. Z inicjatywy ówczesnego Ministra Rolnictwa i Dóbr Państwowych, Janickiego, prof. Kotarbiński opracował szczegółowo pomyślany projekt statutu. Sprawa jednak ograniczyła się tylko na projekcie, który utknął w aktach.

Projekt ministra Janickiego bynajmniej nie był nowym. Myśl polska bowiem wyprzedziła w tym względzie inne kraje o lat prawie sto, czego dowodem książeczka, która się ukazała w r. 1783 w Warszawie w druk. Dufoura pod tyt.:

„Najskuteczniejszy sposób (poprawy powszechnej gospodarstwa) w nasz kray w prowadzeniu, przez uformowanie kraiowey kompanii ekonomiczney, którey proiekt tu się podaie".

Autor tej książeczki, zdając sobie sprawę z doniosłości podniesienia wydajności gospodarstwa krajowego drogą „pomnożenia urodzaiów zbóż, owoców drzewnych, ogrodowych, iarzyn rozmaitych; rozmnożenia wszelkiego domowego bydła i ptactwa, zasiewania potrzebnych do budowy lasów, kopania z ziemi, do różnych fabryk służących torfów i węgli, z oszczędzeniem lasów, stawiania rozmaitych domów trwałych z kamieni lub cegły, wygodnych i bespiecznych od ognia i szturmów", proponuje utworzenie towarzystwa czyli „kompanii kraiowey ekonomiczney", któraby łączyła jednostki, pragnące współdziałać do podniesienia gospodarstwa narodowego. Ofiarujący na cele „kompanii" ponad 300 czerwonych złotych miał zostać protektorem, zaś członkiem zwyczajnym, czyli „kompanistą" mógł być każdy, byleby nie posądzano go o „podejrzane szlachectwo".


Wizerunek Orderu św. Izydora Oracza z r. 1783.

Projek ten przewidywał ponadto ustanowienie orderu św. Izydora Oracza z podziałem na 2 klasy: złotego dla protektorów i protektorek oraz srebrnego dla „kompanistów". Wielkim mistrzem orderu miał być król, święto zaś orderowe wyznaczono na 10 maja, jako dzień św. Izydora.

Odznaka protektorów i protektorek miała być następująca: krzyż kawalerski złoty — z czterech snopków zboża, pośrodku, na okrągłej tarczy, na tle szafirowem — złota cyfra królewska S A R, pod koroną (na rycinie naszej, będącej oryginalną ilustracją książeczki, korony niema).

Odznaka przeznaczona dla „kompanistów" miała byś srebrna z zieloną wstęgą.

Projekt ten, luho w życie nie wszedł, jest jednym z licznych dowodów, iż myśl polska stale przodowała w postępie.

Stanisław Łoza

*) Z Polaków „Merite Agricole" posiadali: Komandorję — Kaz. ks. Lubomirski, Gustaw Raczewski, Adolf Bniński, Witold ks. Czartoryski, Kaz. Fudakowski i Jerzy Gościcki: odznakę oficerską — Zygmunt Chrzanowski, Adam Glatewski, Włodz. Dzieduszycki, Stan. Grabiński, Fryderyk Jurjewicz, Tomasz Klepa, Andrzej ks. Lubomirski, Jan Lutosławski, Jerzy Turnau, Hipolit Wyrowicz, Edmund Zaleski, Józef Żółtowski, Bohdan Zieleniewski; odznakę kawalerską — Ryszard Kiewlicz, Władysław Marciniec, Stefan Buszczyński i Stanisław Jarkowski.





Nurmi i Petkiewicz na starcie (u góry), armja fotografów (u dołu). (fot. J. Ryś).

Paavo Nurmi w Warszawie

W tramwaju, czy w kawiarni, w pociągu podmiejskim, na spacerze, a nawet wśród rozgwaru życia stołecznego, na ulicach — o niczem innem nie mówiono przez szereg dni, jak o przyjeździe Nurmiego.

Atrakcja to bowiem nielada, boć przecież przez dziesięć lat bożyszcze Finlandji, człowiek o żelaznej woli, co mimo braku specjalnych danych fizycznych zdołał utrzymać się na czele elity biegaczów z obu półkuli i zasłużył sobie za życia na pomnik w Ojczyźnie za laury zebrane po świecie, miał zmierzyć się w Warszawie z naszymi zawodnikami...

Piętnaście lat twardej walki z czasem i z samym sobą — oto tajemnica powodzenia tego człowieka.

Niedługo może nadejdzie kres jego możliwości na dzisiejszych dystansach, lata bowiem nieubłaganie idą naprzód, a im dalej, tem szanse szybkościowe maleją, pozostawiając tylko wytrzymałość. Niedługo, być może, będziemy świadkami całej serji rekordów od 25 do 42 km. A może wreszcie to, co uznała opinja po przegranej Nurmiego w roku ubiegłym w Amsterdamie do rodaków — Loukoli i Ritoli — za kurtuazję, było istotnie prognostykiem powolnego spadku formy, od której ratuje go jedynie żelazna siła woli i usilna praca...



Jakkolwiek by nie było, a Warszawa gościła przez parę dni najpopularniejszego na obu półkulach sportowca. Niedoścignioną jego doskonałość, stanowiącą ambicię miljonów młodych sportowców, porównać można jedynie ze sławą, którą zdobył „Nurmi mórz", zamknięty w sobie i nieustraszony żeglarz, Allain Gerbault.

* * *

Nurmi nie jest bynajmniej idealnie zbudowanym, według wszelkich praw teoretycznych zawodnikiem Nie ma on tego „charciego" wyglądu typowych długodystansowców, jaki posiadają świetni jego rodacy — Ritola, Loukola, Anderson i wielu innych. Sądząc po sylwetce niktby nie podejrzewał, iż on jest „sprawcą" aż dziewięciu rekordów światowych. Niepokaźny ten człowiek, z nieco przerzedzającemi się włosami na czubku głowy, nic nie ma w sobie poza pewną zaciętością i surowością w rysach z tych cech, po jakich na oko poznajemy zazwyczaj ludzi, uprawiających sport.

Sam bieg Nurmiego, nie jest napozór estetyczny, ani nawet ekonomiczny, aczkolwiek chronometry wykazują jego skuteczność.

Nurmi pracuje intensywnie całym tułowiem. Widza przykuwa tu nietylko szybka praca nóg, ile właśnie podrywy i skręty tułowia, trzymanego wbrew wszelakiej racjonalnej technice biegu — pionowo, bez żadnego pochylenia.

A jednak człowiek ten pracuje równo, jak maszyna. Na 16-em okrążeniu toru Nurmi, idąc z czasownikiem w ręce, przebiega każde koło, wynoszące 404 metry z szybkością od 1 min. 12 sek. do 1 min. 14 sek., przyczem pierwsze i ostatnie z szybkością 1 min. 8 sek. i 1 min. 10 sek.

Istna maszyna w ludzkiem ciele! Boć trzeba sobie zdać sprawę, iż czas pojedyńczego okrążenia jest tempem, w którem niejeden początkujący w sporcie zdoła przebiec zaledwie 400 metrów!

Tajemnica przewag Nurmiego leży, jak rzekliśmy, w skrupulatnym i z fińskim uporem prowadzonym treningu, na który może się zdobyć jedynie człowiek o żelaznej woli.

* * *

Sobota. — Tłumy ludzi tłoczą się do parku im. Paderewskiego. Walą starzy i młodzi, nie znający się i znający na sporcie.

Godzina 17-a. Oto na czarnej bieżni porusza się lekko szara sylwetka Nurmiego. Przebiega swoje 200 m. dla rozgrzania i schodzi z boiska, by za chwilę stanąć na starcie.

Konopacka i Nurmi (u góry), krok w krok za Nurmim biegnie Petkiewicz (u dołu). (fot. J. Ryś)

Chwila ciszy... Strzał... Ruszają!... Petkiewicz i Nurmi. Petkiewicz prowadzi pierwsze okrążenie. Na drugiem wysuwa się Nurmi, stanowi tem samem dla swego zawodnika, zasłonę od silnego wiatru. Petkiewicz trzyma się jak cień Fina, który zdaje się nie wierzyć, by mógł ktoś tak długo dreptać mu po piętach. I kiedy na szóstem i ostatniem kole sytuacja nie uległa zmianie, można było pójść o zakład, iż Nurmi przegrał. Nie pomógł zmęczonemu Finowi wiatrem słynny jego finish. Petkiewicz był mniej wyczerpany i wygrał po stoczeniu zaciętej i bardzo emocjonującej walki końcowej. O jedną pierś!

Niedziela. — Warunki atmosferyczne — jakkolwiek nie były idealne — znacznie się poprawiły.

Dystans 4 mile (6437 m.), na którym Nurmi miał ponownie się zmierzyć z naszym biegaczem, jest ulubioną jego przestrzenią. Nie może o sobie tego powiedzieć Petkiewicz, któremu ze względu na wiek najbardziej odpowiada 3 — 5 km. Nie dziw też, że idąc stąd w ślad za Nurmim w doskonałem tempie odpada, jakby uciął, na 5-ym kilometrze, a odległość między zawodnikami zwiększa się coraz bardziej.

Nic nie pomoże. Nurmi pokrywa swój dystans w czasie 19 m. 35 sek., a więc o 20 sek. gorszym od własnego rekordu. Petkiewicz przybył o 6 sek. później.

M. Kurleto.



Kwaszone ogórki świetnie gaszą pragnienie

Pragnienie

Ludzie jedzą nie tylko wtedy, kiedy czują głód, jak również, nie tylko wtedy piją, gdy odczuwają pragnienie. Dla hołdowania, nadmiernemu nieraz, obżarstwu i pijaństwu, stworzono tysiące potraw i napojów o najprzeróżniejszym smaku, ażeby organizm, już nasycony, mógł w dalszym ciągu przyjmować nadmierną ilość wprowadzanego weń pokarmu. Nie zawsze uczucie głodu i pragnienia łączy się z potrzebą odnowienia niezbędnych środków odżywczych ludzkich organów. W starych książkach i kronikach lekarskich można wyczytać notatki o ludziach, cierpiących na nadmierne pragnienie, którzy wypijali dziennie do 40 litrów wody. W roku 1868 w paryskiej klinice „Hotel Dieu" znajdował się chory, który pożerał dziennie 5 funtów mięsa, 3 funty wędliny oraz niepomierne ilości chleba. Ów nieszczęśliwiec chorował na uczucie urojonego głodu, które musiało być natychmiast zaspokojone, pod groźbą okropnych boleści. Leczenie takiego pacjenta mogło dać jedynie dobre rezultaty przy zastosowaniu sugestji, ponieważ żadne pigułki i mikstury nie mogły zwalczyć tej dziwnej choroby. W czasach dzisiejszych wypadki podobnych chorób są bardzo rzadkie i kwalifikowano do grupy chorób psycho-patologicznych. Jeżeli chodzi o uczuce głodu i pragnienia, to jest rzeczą dowiedzioną, że najtrudniejszem do zwalczenia i do przetrzymania jest pragnienie. Występuje ono codziennie, przy każdej nieomal okoliczności życiowej w formie gwałtownej potrzeby wprowadzania do organizmu pożywienia płynnego. Jeden z lekarzy współczesnych chcąc się przekonać, ile właściwie organizm ludzki potrzebuje płynu, zaczął się zmuszać przez przeciąg 11 dni do picia znacznych ilości wody. Przed rozpoczęciem swojego doświadczenia używał bardzo mało płynów. Po 11 dniach organizm jego wpadł w stan nieustannego nienasycenia się wodą, tak, że lekarz przerwał doświadczenie, ażeby nie wpaść w chroniczny stan neurozy. Wiele wysiłków i znacznej siły woli potrzeba mu było, by odzwyczaić swój organizm od chorobliwego pragnienia.

Uczucie pragnienia jest czysto subjektywne, przyczem woda jest jednym z najniezbędniejszych środków odżywczych. Żołądek, który przez przeciąg całych tygodni może się obyć bez pokarmów stałych, wymaga wprowadzenia codziennie do wewnątrz pewnej ilości płynu. Można na to dać przykład czysto życiowy. Produkują się obecnie dość często t. zw. „głodomorzy", którzy potrafią wytrzymać bez pokarmów przez cały miesiąc, odżywiając się jedynie wodą. Niema natomiast „wodomorów". Wypływa to z budowy ciała ludzkiego. U dorosłego człowieka ciało składa się z 60% wody. Organa wewnętrzne, jak nerki, płuca, jelita, zużywają codziennie dużą ilość wody zawartej w organiźmie, przyczem znaczna ilość wody znajduje się w ludzkiej krwi. Ubytek wody musi być stale dopełniany i dopełnianie to staje się jednym z zasadniczych warunków normalnego życia organów ludzkich. Pragnienie odczuwane przez człowieka gra rolę niejako strażnika zdrowia cielesnego i uderza na alarm w razie wyczerpywania się zapasów wody.

Ale co bezpośrednio wywołuje pragnienie? Krew pozbawiona wody gęstnieje. Organizm wpada wówczas w stan gorączki oraz duszności i potrzeba wprowadzenia do organizmu wody staje się koniecznością. Dlatego też ludzie mający gorączkę piją ciągle i dużo wody. Można powiedzieć, że jest to „pragnienie krwi", której zabrakło wody. Najnowsze badania lekarskie stwierdziły wytwarzanie się we krwi w braku wody nadmiernej ilości tłuszczu i soli. Zachowanie równowagi wewnętrznej pomiędzy tłuszczem, solą i wodą na niekorzyść wody objawia się gwałtownem pragnieniem. Przeprowadzono cały szereg doświadczeń. Jedno z nich bardzo charakterystycznie wyjaśnia najzupełniej „pragnienie krwi". Mianowicie jeden z eksperymentatorów opił się wody, jak sam się potem wyraził, do nieprzytomności, poczem zastrzyknięto mu do krwi 1 centymetr sześcienny 20%-towego rostworu soli kuchennej. W parę minut po tym zabiegu uczucie pragnienia wystąpiło u niego w bardzo ostrej formie.

Istnieje zasadnicza i ciekawa różnica pomiędzy sposobem odczuwania głodu i pragnienia. Głód wywołany brakiem pokarmu w żołądku powoduje kurczenie się jego ścianek, i to kurczenie właśnie dochodzi do naszej świadomości w postaci uczucia czczości. Pragnienie natomiast, które jest „pragnieniem krwi", objawia się w organach niemających nic wspólnego z krwią. Podniebienie i język odświeżane śliną są wysuszone, ponieważ wilgoć śliny jest przez organizm spotrzebowana dla ratowania gęstniejącej od tłuszczu i soli krwi. Przewód pokarmowy i przełyk odczuwa pewnego rodzaju palenie, które dochodzi często aż do jelit. Oddech staje się krótki i przyśpieszony. Działalność serca zwiększa się. Człowiek wpada w stan półprzytomny, który jak wykazały liczne przykłady może dojść aż do obłąkania.



Sprzedawca lemoniady w Kairze. (Atlantic)

Wystarczy natomiast parę kropli wody zwilżającej podniebienie, by uczucie pragnienia, a właściwie organizm łaknący wilgoci, oszukać.

W czasie upałów, kiedy cały organizm człowieka wpada w stan podgorączkowy, a więc wymagający częstszego odżywiania się płynem, ludzie mniej jedzą i dlatego żołądek poświęca więcej pracy na trawienie wody. Z drugiej strony pocąc się, człowiek wydziela wodę zawartą we krwi nazewnątrz. Wywołuje to coraz większe zapotrzebowanie na wodę. Tem właśnie należy tłomaczyć stan ciągłego nienasycenia się wilgocią podczas upałów, pomimo spożywania większej ilości płynów. Mieszkańcy okolic podzwrotnikowych odświeżają się spożywaniem owoców. Daje im to podwójną korzyść: żołądek mając w sobie pokarm stały, pracuje nad jego strawieniem, podczas gdy cały sok zawarty w owocu przedostaje się do krwi.

Ciekawem jest również spostrzeżenie, że pijąc naprzykład herbatę gorącą podczas upałów, orzeźwiamy się nią skuteczniej od wody, czy też piwa.

Tłomaczy się to w bardzo prosty sposób. Gorący płyn, goretszy od temperatury żołądka, powoli się ochładza i w ten sposób daje organizmowi złudzenie odświeżania i obniżania stanu podgorączkowego. Inaczej się dzieje z wprowadzaniem do organizmu zimnych lodów, lub też zimnej wody. Ulga jaką człowiek doznaje trwa tyle czasu, ile go potrzebuje zużyć pożywienie na przebycie drogi od ust do żołądka, poczem lody pod wpływem gorąca rostapiają się, woda dochodzi do temperatury panującej wewnątrz organizmu ludzkiego. Następuje złudzenie, odwrotne do poprzednio opisanego: podwyższanie się temperatury, innemi słowy, potęguje się uczucie pragnienia.

Robotnicy ciężko pracujący lub też żołnierze odbywający długie marsze, zużywają około 6 litrów.

Istnieje jeszcze jedna przyczyna podniecająca pragnienie — jest to alkohol. Po wypiciu kilku kieliszków wódki, organizm rozgrzewa się nadmiernie, przyczem alkohol przenika do krwi, niszcząc równowagę jej składników. Występuje wtedy „pragnienie krwi" realizowane przez amatorów wódki w postaci spożycia znacznych ilości piwa zawierającego również alkohol. Następuje wtedy zatrucie krwi alkoholem, pozbawionej odpowiedniej ilości wody, oraz tak miły dla wielu, a szkodliwy dla każdego stan podchmielenia.



Reakcja na uczucie pragnienia objawia się w najrozmaitszy sposób. Jedni piją wodę, inni wódkę, trzeci — piwo.

Wesołe miasteczko na P. W. K.



Rodzina z pod Warszawy na wystawie



Tata wygrał niedźwiedzia.



Anglicy na wystawie



Mama strzela





Kolejka napowietrzna



Siłomierz

Ruchome schody



Samochody elektryczne





Wodospad Niagara

NITA AKSTON.

Sensacja

W drukarni zapanował zamęt. Numer „Głosu Stolicy" był już na maszynie, gdy nagle do dyrektora drukarni wpadł zdyszany sekretarz redakcji.

— Dyrektorze! — zawołał od progu błagalnym głosem. — Ratuj nas pan... Ta wiadomość musi pójść jeszcze dzisiaj. Niech pan zrozumie... Przywieźli ją nam przed sekundą. Aeroplanem, wprost z Paryża... Nawet gotowe klisze przysłali. Bój się pan Boga! Przecież to rewelacja... Przecież to...

Zająknął się, nie znajdując mocniejszego określenia.

Dyrektor z niechęcią zsunął brwi. „Głos stolicy" był dobrym klijentem, drukowano go tutaj od wielu lat, ale zbyt często zmiany, nadchodzące „w ostatniej chwili" wyprowadzały go z cierpliwości. Postanowił nie ustępować.

— Jak ja to panu umieszczę? Numer jest na maszynie. Wykluczone. Zupełnie wykluczone.

Sekretarz jęknął boleśnie, bezsilnie opuszczając ręce.

— Pan nas gubi! Pan nas kompletnie zabija... Zapowiedzieliśmy w ostatnim numerze o dwunastej, że w wieczornem wydaniu ukaże się dokładne sprawozdanie z afery paryskiej. Nadmieniliśmy, że korespondent nasz już...

— Ależ jak ja panu...

— Dyrektorze kochany, nie traćmy czasu. Tekst jest nieduży. Niech pan wyda rozporządzenie... W piętnaście minut go złożą. Chodzi głównie o klisze, a te są tu... Ja sam z metrampażem przełamię kolumnę. Wstawimy ją na miejsce strony o wyborach w Ameryce. Ta nie przepadnie — damy ją jutro. No, co..?

Dyrektor machnął ręką.

— Ale przynajmniej nie zwalajcie na mnie winy, jeżeli się numer opóźni.

Druga ciężka przeprawa czekała biednego dziennikarza z metrampażem. Na dodatek zastał starego drukarza w grobowym nastroju.

— Tylko trzy klisze — sarknął — i mam zrobić całą kolumnę? Kiedyż tyle tekstu złożą? Może go jeszcze obłamywać..?

— Tekst jest mały, panie Kucy, zaraz go złożą — starał się udobruchać go sekretarz. — Puścimy duże tytuły. Jeden wielki przez wszystkie szpalty, dużo podtytułów i...

— Przepraszam, przepraszam — przerwał mu tuż nad uchem czyjś głos z tyłu — Witam pana redaktora. O mały włos, a byłbym pana niechcący trącił tą tacką!

— Witam kolegę — przyjaźnie uśmiechnął się sekretarz, usuwając się z drogi młodemu robotnikowi średniego wzrostu, o szerokich barach i sympatycznym wyrazie twarzy.

Lecz ten zamachał rękami, jakby chciał odżegnać zmorę.

— Dziękuję. Już próbowałem. To chłopak z fantazją! Rozumie pan? Łamał nie podług wykazu, a podług własnego natchnienia. W rezultacie jeden z moich klijentów o mało mu kości nie połamał...

Pomimo pesymistycznych przewidywań dyrektora i metrampaża, wszystko szło jaknajskładniej. W niespełna pół godziny kolumna „Głosu Stolicy" była złamana.

— Antek! Odbić! Prędzej... — krzyknął Kucy, po raz ostatni okręcając sznurek.

— A co? Mówiłem?! — rzekł Antek, niosąc kolumnę z triumfującą miną obok sekretarza, który przez cały czas z wypiekami na twarzy śledził za robotą.

Antek szybko zsunął kolumnę na prasę, wyskim tańcu. Z rozpaczliwym wysiłkiem wyciągnął ręce, szukając oparcia. Stracił przytomność...



Suzon — Nancy Caroll (fot. Paramount).

Antoni Śmiga, zwany popularnie przez kolegów „redaktorem", trzymał w rękach szuflę, naładowaną trzema dużemi kolumnami. Pomimo ciężaru nie znać było na nim cienia wysiłku. Zręcznie lawirował między regałami i gdyby nie potężne muskuły, nabrzmiałe z pod rękawów niebieskiej bluzy, możnaby rzec, że doprawdy miał w ręku nie więcej, jak tylko „tackę" ze szklankami herbaty.

— Pan redaktor znów w kłopocie — rzekł, mrugnąwszy znacząco okiem. — Wiemy, wiemy. Ostatnia wiadomość... Sensacja... Niech pan się nie martwi. Tekst już na linotypie. A Kucy w mig kolumienkę przełamie!

Ostatnie słowa mówił z drugiego końca drukarni, ładując kolumny na prasę.

Twarz sekretarza wypogodziła się. Obecność tego chłopca, pracującego stale z niewzruszoną pogodą, działała nań kojąco, tak samo, jak ponury pesymizm Kucego wprowadzał go w zły humor. Całe zajęcie „redaktora" polegało właściwie na „odbijaniu", lecz zdawało się, że nawet w tę beznadziejnie monotonną pracę wkładał jakieś specjalne umiłowanie. Jeśli pod rękę wpadała mu kolumna pisma, szczególnie ilustrowanego, odbijał ją starannie, podnosił arkusz do okna, oglądał, badał łamanie, rozstawienie tytułów, ilość światła, chwalił, krytykował, a przytem wydawał zdania tak trafne, czasem nawet tak śmiałe, że wprowadzały w zdumienie niejednego wytrawnego fachowca.

— Miałby pan z niego pierwszorzędnego metrampaża — zwrócił uwagę kierownikowi drukarni jeden z klijentów.

smarował ją porządnie, przycisnął dekel. Następnie właściwym sobie zwyczajem podniósł arkusz do światła.

— Panie redaktorze — zawołał. — Odbitka już...

Nagle głos mu się urwał. Śmiertelna bladość pokrywała jego twarz w miarę tego, jak czytał. Błędny wzrok utkwił w odbitce, a ogromne tytuły skakały mu do oczu, niby rozjuszone bestje.

WYKRADZENIE TAJNYCH DOKUMENTÓW Z POSELSTWA POLSKIEGO W PARYŻU.
BOHATERKA OLBRZYMIEJ AFERY SZPIEGOWSKIEJ ARESZTOWANA.
PIĘKNA SUZON — WYRAFINOWANĄ ZŁODZIEJKĄ I SZPIEGIEM.
OD ŚWIETNEJ KARJERY DO KRAT WIĘZIENNYCH.

A między tytułami aż trzy fotografje: Suzon — jako dziewczynka dwunastoletnia; Suzon — jako panna do towarzystwa u mecenasowej Z.; Suzon — u szczytu sławy.

Toć to nie był nikt inny, tylko Zocha, jego siostra umiłowana, duma jego... Zocha? Niemożliwe... A jednak wzrok go nie mylił. Te dwie pierwsze fotografje znał aż zbyt dobrze. Stały u niego na stole, oprawione w tanie, drewniane ramki.

Zocha — złodziejka!.. Ostry, nieludzki ból chwycił go za serce, szarpnął całem ciałem, zamroczył mózg. W głowie huczało. Nie mógł wydobyć ze siebie głosu, nie mógł ruszyć się z miejsca. W oczach mu zawirowało. Z początku powoli, potem coraz prędzej, prędzej. Wirowały tytuły, fotografje, kaszty, regały, ludzie, wszystko zmieszało się, skłębiło w jakimś szalonym, djabel-

Odzyskał ją, leżąc na kanapie w pokoju, którego nie znał. Przy nim stał ktoś i trzymał go za rękę.

— No co, lepiej?

Nie odpowiedział. Przymknął spowrotem powieki. Pragnął samotności. Musiał mieć chwilę spokoju, by uporządkować strzępy bezładnych, chaotycznych myśli.

Od dziesięciu lat pracował Antek w drukarni krajowej. Zaczął jako chłopak dwunastoletni, nie ukończywszy trzech klas szkoły. Garnął się do nauki, ale cóż, kiedy w domu bieda aż piszczała. Gnieździli się we troje w kącie mrocznej, wilgotnej suteryny. Ojca nie pamiętał. Matka praniem zarabiała grosze, a tu siostra rosła młodsza o dwa lata. Ładna była dziewczyna, podobna do Antka, jak dwie krople wody, jak on wesoła, prędka, spostrzegawcza, tylko smuklejsza i bardziej beztroska. O niej Antek myślał przedewszystkiem. Nikogo na świecie nie miłował tak serdecznie, jak tej Zochy swojej, lekkomyślnej, psotnej przylepki. Matka wracała z roboty późno i często, nie rozbierając się wcale, zmordowana jak koń, padała na nędzne łóżko, by nazajutrz znowu na cały dzień z domu zniknąć. Patrząc na biedne, z pracy i wilgoci powykręcane palce matczyne, chłopak zaprzysiągł sobie, że nie dopuści, by siostra tak samo zmarnieć miała. A więc chodziła Zocha do szkoły, a on do drukarni. Poświęcał jej prawie wszystkie wolne chwile. Dobrze mu z nią było. Zresztą dziewczyna ładniała z każdym rokiem, a w miarę tego wzrastały w nim gniew i obawa na widok spojrzeń chłopaków, natarczywie skierowanych w jej stronę.

Skończyła Zocha sześć klas, kiedy im matka umarła.

Antek po raz pierwszy załamał ręce.

— Co teraz z tobą będzie?

— Poszukam pracy — uspokoiła go. — Zarabiasz za mało na nas oboje. Nie chcę ci być ciężarem.

Szukali długo, aż wreszcie dzięki protekcji przełożonej Zosinej znaleźli jej posadę towarzyszki u schorowanej, bogatej wdowy.

Od tego czasu Antek rzadziej siostrę swą widywał. Ale wiedział, że jej dobrze i duma bezbrzeżna rozpierała mu serce, gdy spotykał ją czasem przelotnie w długiem, czerwonem aucie, ubraną skromnie, lecz gustownie, obok siwej, bladej pani. Zdawało mu się, że wszyscy przechodnie zwracają na nią uwagę i zachwycają się jej wdziękiem, urodą i młodością. Stawał pośrodku ulicy i patrzył dopóty, dopóki czerwone auto nie znikało za zakrętem.

— To moja siostra, moja Zocha!

I począł marzyć o tem, że w domu samotnej pani zjawia się jakiś obywatel ziemski, przemysłowiec, lub lekarz, że oszołomiony pięknością i zaletami Zochy, żeni się z nią. Widział już siostrę swoją, którą wyciągnął był z nędzy, u boku dobrego, kochającego męża, szczęśliwą, zabezpieczoną na całe życie.

Po dwóch latach samotna pani przeniosła się do Paryża i zabrała ze sobą młodą dziewczynę. Antek nie posiadał się z radości.

Paryż! Zocha pojechała do Paryża. Spotkało ją to, o czem nawet marzyć nie śmiała. Chwalił się przed kolegami, pokazywał listy i fotografje, które stale przy sobie nosił. Nie pomijał żadnej sposobności, by nie wtrącić:

— Moja siostra z Paryża pisze...

lub:

— Wiem o tem od mojej siostry z Paryża... — i t. p.

Musiało jej się dobrze powodzić, kiedy na gwiazdkę przysłała mu krawaty i chusteczkę jedwabną, a na imieniny złote spinki z rubinami. Zdziwił się. Nawet rozgniewał. Lecz odpisała mu, że to wszystko w Paryżu kosztuje grosze, a ona wydatków żadnych nie ma i jeszcze zarobione pieniądze odkłada.

Jakże był z niej dumny!

A teraz...

Dźwignął się z trudem. Dzięki Bogu, zostawiono go samego. Twarz miał pożółkłą, nagle postarzałą. Głowa ciężyła nieznośnie. W nogach czuł słabość. Chwiejnym krokiem, chwytając się sprzętów, wyszedł na kurytarz.

Pojawienie się jego w zecerni zwróciło ogólną uwagę. Przeszedł, nie słysząc zadawanych mu pytań, nie widząc nikogo. Szukał Kucego.

Stary metrampaż spojrzał nań ze współczuciem

(Dok. na str. 21-ej).



WIELKOŚĆ NATURALNA.

BEZPŁATNIE

WIELKA POWSZECHNA
ENCYKLOPEDJA
WYDAWNICTWA GUTENBERGA

W ośmiu krajach europejskich pracuje Wydawnictwo Gutenberga nad rozpowszechnianiem dzieł wszechświatowej literatury, i praca nasza wydała wspaniałe wyniki. Miljony ludzi znajduje się dzięki nam w posiadaniu wartościowych bibljotek domowych, będących radością każdego kulturalnego człowieka.

Obecnie wydajemy największe nasze dzieło

WIELKĄ POWSZECHNĄ
ENCYKLOPEDJĘ
WYDAWNICTWA GUTENBERGA

Pierwszy i drugi tom już się pojawił, trzeci znajduje się w druku.

Do dzisiaj posiadanie tak wspaniałego dzieła było udziałem bogaczy, ale dzisiaj każdy może stać się właścicielem

WIELKIEJ ENCYKLOPEDJI

gdyż my dajemy każdemu czytelnikowi tego pisma całkowite wydanie bezpłatnie, o ile natychmiast nadeśle niżej załączony kupon pod adresem naszej centrali w Krakowie, a światowa marka naszej firmy gwarantuje czytelnikowi, że dotrzymamy naszych przyrzeczeń.

ENCYKLOPEDJA
WYDAWNICTWA GUTENBERGA

ukaże się w dużym formacie, w 150 zeszytach, w których blisko **4.000.000 słów i 10.000 różnych ilustracyj** złożą się na potężne dzieło, informujące **wszystkich o wszystkiem.** W każdej rodzinie powinna się znajdować nasza **Encyklopedja**, z której każdy może czerpać niesłychane bogactwa.

Tylko opakowanie i koszta reklamy wymagają zwrotu kosztów w wysokości 35 groszy od zeszytu. Każdy ma również okazję otrzymać Encyklopedję w oprawie po bajecznie niskiej cenie, na co otrzyma wyczerpujące wyjaśnienia w naszym prospekcie.

Prosimy nie przesyłać zgóry żadnych pieniędzy wzgl. znaczków. Zamówienia są ważne tylko dla kuponów, otrzymanych w ciągu 10 dni.

WYDAWNICTWO GUTENBERGA

KRAKÓW, DUNAJEWSKIEGO 2.

Niżej podpisany życzy sobie otrzymać bezpłatnie Powszechną **Encyklopedję** Wydawnictwa Gutenberga

Imię i nazwisko: ....

Dokładny adres: ....

....

Kupon Nr. A. 180.



Nr. 91. Irena Winiarska (Wilno).



Nr. 92. Lulaś E. (Warszawa, fot. Malarski)



Nr. 93. Dziunia Traubówna (Warszawa, fot. Malarski)



Nr. 94. Witold Grobicki (Warszawa, fot. Malarski)



Nr. 95. „Jolanta". (Wilno).



Nr. 96. Hanna Ferańska. (Warszawa).



Nr. 97. Basia Kamińska. (Konstancin).



Nr. 98. „Marysia", (Bydgoszcz)

Wydawnictwo „7 DNI" oraz fabryka znakomitej czekolady „SUCHARD" ogłaszają

WIELKI KONKURS

„NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"



Nr. 90. Zuzanna Bikówna (Lwów, fot. „Grottger")



Nr. 84. Włoduś Rusin (Warszawa)



Nr. 89. Maryla Szwajcerówna



Nr. 83. Halinka Zakrzewska (Warszawa, fot. Malarski)



Nr. 88. „Inka" (Warszawa, fot. Schabenbeck, Zakopane)



Nr. 82. Tadeusz Tubiański (Warszawa, fot. Malarski)

KONKURS NAJPIĘKNIEJSZEGO DZIECKA POLSKIEGO „7 DNI"
Kupon z Nr. 34-go.

WARUNKI

1) Fotografje konkursowe pięknych dzieci polskich w ilości nie większej nad dwa zdjęcia jednego dziecka nadsyłać winni rodzice lub opiekunowie pod adresem Wydawnictwa „7 DNI".

2) Format tych fotografij nie może być mniejszy niż 6 na 9 cm.

3) Każda fotografja winna zawierać na odwrocie wyraźnie wypisane: a) imię, nazwisko i datę urodzenia dziecka, b) nazwisko i dokładny adres rodziców, c) godło w razie nieujawnienia nazwiska dziecka.

4) Do każdej fotografji należy dołączyć: a) odpowiedni kupon, wycięty z „7 DNI", oraz b) etykietę (opakowanie papierowe) 100-gramowej tabliczki czekolady „SUCHARD" z jednego z następujących gatunków: „VELMA", „MILKA", „MILKA AMERE", „MILKA NUT", „ST. BERNARD", „JUBILEUSZOWA", „CAFOLA", „ORANGE", „VELNUT" lub „BITTRA", albo opakowanie 100-gramowej paczki kakao „SUCHARD".

5) Termin nadsyłania zgłoszeń wraz z fotografjami, kuponami „7 DNI" i opakowaniami „SUCHARD" upływa nieodwołalnie dnia 1-go października r. b. o godz. 24-ej (o północy).

6) Czytelnicy „7 DNI" sami, na podstawie umieszczonych w „7 DNIACH" fotografij wyróżnionych przez jury, wybiorą „Najpiękniejsze Dziecko Polskie", które otrzyma 1-ą nagrodę. Pozostałe nagrody rozdzielone zostaną stosownie do ilości głosów.

7) Jury kwalifikować będzie nadesłane fotografje do umieszczenia na łamach „7 DNI". Kontrolę nad plebiscytem Czytelników i rozdziałem nagród sprawować będzie notarjusz Mieczysław Różycki.

BEZPŁATNE ZDJĘCIA KONKURSOWE.

Następujące Zakłady Fotograficzne dokonują bezpłatnych zdjęć dzieci naszych Czytelników, biorących udział w konkursie „7 DNI": *Warszawa* — Jan Malarski, Chmielna 10; *Kraków* — Fot. „Janina", Starowiślna 21; *Lwów* — Zakł. Fot. „Grottgera", Akademicka 3; *Zakopane* — Fot. Schabenbeck, Krupówki; *Rabka* — Fot. „Janina"; *Iwonicz i Rymanów* — Zdrój — Fot. Grottger (ze Lwowa).

GOTÓWKĄ

10.000 ZŁ. NAGRODY

PRZYSZŁOŚĆ WASZYCH DZIECI LEŻY W WASZYCH RĘKACH!



SUCHARD-KAKAO
wzmacnia mięśnie i nerwy

SUCHARD-MILKA
KRÓLOWA MLECZNYCH CZEKOLAD

SUCHARD-VELMA
IDEALNA CZEKOLADA DESEROWA

NAGRODY

DLA MATEK NAJPIĘKNIEJSZYCH DZIECI:

1 *Nagroda:* 3 000 złotych,
2 *Nagroda:* 1 000 złotych,
3 *Nagroda:* 750 złotych,
4 *Nagroda:* Maszyna do szycia „Singera".
5 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny Pathe Baby z kasetą, filmem i statywem.
6 *Nagroda:* Gramofon „Dancephon" z 5 płytami,
7 *Nagroda:* Mebelki dziecinne z „Komispolu",
8 *Nagroda:* Aparat fotograficzny „Kodak",
9 *Nagroda:* Piłka skórzana do napompowywania z „Komispolu",
10 *Nagroda:* Wieczne pióro „Platignum" z „Komispolu".

UWAGA: Nagrody pieniężne będą wypłacone w postaci książeczek oszczędnościowych P. K. O.

DLA CZYTELNIKÓW „7 DNI".

(Nagrody poniższe zostaną rozlosowane wśród wszystkich Czytelników *„Siedmiu Dni"*, którzy wezmą udział w plebiscycie drogą nadesłania głosu na dziecko, zasługujące ich zdaniem na 1-ą nagrodę).

1 *Nagroda:* 2 000 złotych,
2 *Nagroda:* Kompletny radjoaparat „Natavis" wartości 1 500 złotych,
3, 4 i 5 *Nagrody:* po 500 złotych,
6, 7 i 8 *Nagrody:* po 300 złotych,
9 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny „Pathe Baby" z kasetą, filmem i statywem,
10 *Nagroda:* Aparat kinematograficzny „Kodak",
11 *Nagroda:* 150 złotych.
12, 13, 14 i 15 *Nagrody:* po 100 złotych,
16 do 24-ej *Nagrody:* wieczne pióra „Platignum" z „Komispolu".
25, 26, 27 i 28 *Nagrody:* piłki skórzane do napompowywania z „Komispolu".

Wszystkim dzieciom, biorącym udział w tym konkursie, znana fabryka czekolady „SUCHARD" nadeśle w podarunku paczkę kakao „SUCHARD", oraz piękny wielobarwny balonik.



Nr. 85. „Mój synek" (Warszawa)



Nr. 86. Basia Strycharska (Kraków, fot. Schabenbeck, Zakop.)



Nr. 87. Iwonka Krańska (Tarnopol)



Nr. 99. Krysia Tubiańska. (Warszawa, fot. Malarski).



Nr. 100. Hanusia i Iruchna Lipska. (Lublin).

Nr. 101. Marjan Grabowski (Wiśniewo, pow. Warszawa).

W następnym numerze podamy ósmą serję fotografij konkursowych.

Kult tradycji w Anglji



„Tutliman" ekzekwuje podatek w postaci całusa.

Odwieczne tradycje przekazywane z pokolenia na pokolenie i czczone niezmiennie z powagą, nawet wówczas, kiedy zawierają momenty wesołe — zasługują ze wszech miar na poparcie. Istotnie bowiem każda tradycja wywołuje szlachetne wzruszenie i wnosi dozę umiaru i opamiętania — co zwłaszcza w obecnej dobie wybujałego zmaterjalizowania myśli winno być wysoce cenione.

Niema z pewnością narodu, któryby więcej dbał o zachowanie starych obyczajów, jak Anglosasi. Istny kult, śmieszny, być może, z pozorów, a jednak tak ściśle związany z psychologją iż wszyscy, począwszy od głowy państwa, a kończąc na ostatnim włóczędze, oddają mu należny hołd.

Najwięcej tradycyj zachował, oczywiście, dwór. Niektóre z tych obyczajów wywołują, nawet u monarchów, zaprawionych od kolebki do stosowania swego życia do przepisów etykiety, dyskretny uśmiech, nikomu wszakże nie przyjdzie do głowy, by mogło być inaczej.

Weźmy chociażby galowe przedstawienie w londyńskiej operze. „His Majesty" wchodzi z godnością do loży, a chociaż cała widownia zalana jest światłem, kamerdynerzy w perukach niosą przed królem storoświeckie kopcące kandelabry.

Albo dzień otwarcia Parlamentu. Wspaniała karoca, zawozi monarchę przez ulice miasta, na których zamiera zgiełkliwy ruch codzienny, ustępując miejsca poważnemu, skupionemu nastrojowi. Wszyscy witają króla serdecznie, nikt nie podejrzewa żadnego zamachu, a jednak oddział gwardji szlacheckiej, t. zw. „yeomanry", uczyni poszukiwania w podziemiach gmachu Izb, starając się odnaleźć... beczułki z prochem.

Król wjeżdża do serca Londynu, zwanego City. Lord Mayor wita dostojnego gościa, wręczając mu klucze miasta i wpłaca królowi daninę za dom i kuźnię, należące od wieków do Korony, przyczem czynsz dzierżawny opiewa na 2 wiązki drzewa opałowego, sześć podków i sześćdziesiąt hufnali.

Król wraca do swych komnat. Wejścia pilnuje dyżurny „yeoman", któremu jedynie przysługuje prawo otwarcia drzwi. Biada, jeśli oddali się na chwilę, bo wtedy nawet król, będzie musiał uzbroić się w cierpliwość i zaczekać, jak to miało miejsce z Edwardem VII.

Nie zliczyć wszystkich tych przepisów etykiety, któremi skrępowany jest monarcha angielski. Nie przeszkadza to jednak, by z całą prostotą zachowywał się w życiu codziennem, równie szanowany przez tłumy w purpurach i w koronie, jak w zwykłym meloniku i w żakiecie.

Obok tych ceremonjałów, które spotykamy w Anglji na każdym niemal kroku, zanotować należy cały szereg wesołych i niefrasobliwych zabaw, będących spuścizną historyczną, pochodzącą z najdawniejszych czasów.

Do najstarszych obrzędów należy tradycyjny „Hocktide" w Hungerford i „Morris Dances" w hrabstwie oksfordskiem.

Hungerford, w którym rok rocznie, przed Wielkanocą obchodzą „Hocktide" jest maleńką mieściną, położoną tuż obok ślicznego pola wyścigowego w Newburry, które znają wszyscy miłośnicy konnych zawodów.

Uroczystość rozpoczyna się wczesnym rankiem. Punktualnie o ósmej wychodzi na rynek miasta herold w lśniącym cylidrze i w czerwonym surducie ze złotemi guzami. Dmie z całej siły w trąbę, darowaną miastu przed kilkuset laty przez samego John O'Gaunta. Tradycja nakazuje, by pierwszą osobą która wyjrzy ze swego okna, była gospodyni zajazdu, zbudowanego w r. 1400, a położonego w samym rynku. Wychodzą następnie ci, którym przepisano w razie niespodzianego przyjazdu króla ofiarować mu czerwoną różę i pstrąga. Za nimi wszyscy potomkowie słynnego Sire'a Hungeford, za którego miasto złożyło w r. 1459 drogi okup, kiedy był dostał się do niewoli we Francji.

Chwila ciszy... Herold oznajmia obecnym, iżby się stawili punktualnie o 9-ej w magistracie, gdzie odbędzie się przydział pozwoleń na połów pstrągów. Słuchają go w skupieniu i zwolna kierują się ku starożytnemu gmachowi, w którym oczekują ich rajce grodcy, t. zw. „Feoffees" w otoczeniu odwiecznych funkcjonarjuszy — poborcy podatków, nadzorcy przy moście, trzech kluczników „od wspólnej skrzyni na dukaty", dwóch „próbujących piwo", dwóch „kupczących skórą" i dwóch „kontrolerów rybostanu".

Czyżby jednak wszyscy stawili się na miejsce? Herold puszcza się na miasto, a biada, jeśli przyłapie kogoś w domu, gdyż ma prawo wymierzyć mu karę. Jeśli delikwentem okaże się mężczyzna — zapłacić musi 1 penny, a jeśli to kobieta, wówczas kara jest zgoła osobliwą. Poborcami w danym wypadku są t. zw. „tuttimenowie".

Oto natykamy się na nich, jak biegną co sił, mimo poważnego wieku i stanowiska w codziennem życiu. W ręku dzierżą emblemat swego urzędu — długą tyczkę, na której osadzono bukiet z pierwszych kwiatów wiosennych i pomarańczę. Za nimi biegnie inny dostojnik t. zw. „official orange scrambler" z koszem, pełnym pomarańcz.

Tuttimenowie odnajdują wreszcie pierwszą ofiarę. Niewieście wolno zapłacić 1 penny kary, lecz wolno również — i wszystkie, choćby najbogatsze to wolą — okupić się całusem, za który otrzymują pomarańcze.

Tuttimenowie nie oszczędzają nikogo. Wpadają nawet do szpitala miejskiego i do przytułku dla starców, gdzie zastają zgóry przygotowane do wymiaru kary niewiasty, wszystkie ustawione w jeden rząd.

Skończyło się wreszcie. Wszyscy winni otrzymali zasłużoną karę. W ratuszu przydzielono mieszkańcom pozwolenia na połów pstrągów.

Przechodzimy do zajazdu „Pod trzema łabędziami" na ucztę. Tradycja nakazuje, by głównem daniem były kluski, a trunkiem punch, od którego język pali.

Burmistrz odczytuje przy stole reskrypt królewski, nadsyłany co roku przez kancelarję dworu.

Następuje zkolei najdziwniejszy ceremonjał kucia koni.

Pierwszą ofiarą jest zwykle osoba duchowna. Miejscowy proboszcz wychodzi na środek sali, podnosi nogę, którą wnet chwyta kowal w skórzanym fartuchu i oparłszy na kolanach, operuje. Wbija mu gwóźdź do podeszwy, a kiedy ofiara poczuje ukłucie, winna oświadczyć, iż przyrzeka posłuszeństwo (?).

Pierwszą i jedyną tego oznaką jest wniesienie poborcy podatkowemu 10 szylingów, za które zwalniają ofiarę od dalszej operacji.

Wszyscy obecni na bankiecie, choćby nawet przejezdni, podlegają „podkuciu", a jedynym człowiekiem, którego prawo mogłoby zwolnić, jest tylko król.

Uroczystość skończona. Nie znaczy to bynajmniej, by wszyscy biesiadnicy mieli natychmiast opuścić gościnne progi „Trzech łabędzi". Libacja ciągnie się do późna w nocy, butelki się opróżniają jedna za drugą a rozgwar staje się coraz głośniejszy.

I tak bywa co roku, od niepamiętnych czasów, z tą wszakże różnicą, że ongiś zamiast pomarańczy, rozdawano... rozpalone do czerwoności miedziane monety



Historyczny obchód w Selkirk. Chorąży pędzi cwałem ku bramom miasta z wieścią o zwycięstwie Anglików.



Parze małżeńskiej, która może dowieść, iż była najszczęśliwszą w ciągu roku, miasto Ilford ofiarowuje świnię.

Domergue i van Dongen



Malarstwo, jak każda dziedzina sztuki, podlega ciągłej ewolucji, która, w świecie pędzla, tworzy prawdziwe epoki. W Paryżu, w stolicy cyganerji artystycznej i wytwornego świata zabłysły dwie gwiazdy malarskie pierwszej wielkości: Domergue i van Dongen. Ludzie ci pochodzący z dwuch biegunowo od siebie odległych warstw społecznych, podbili serca wszystkich genre'm swych dzieł.

Van Dongen stał się ojcem najbardziej cenionych i poszukiwanych obecnie portretów, tak zwanych „portrait au baton rouge", których genezą była następująca anegdota z jego życia: Będąc jednego razu w licznem towarzystwie, van Dongen był natarczywie nagabywany przez pewną damę o zrobienie na poczekaniu jej portretu. Kiedy oświadczył, że jest to rzeczą niemożliwą, z braku farb i pędzla, dama wręczyła mu swoją kredkę od karminowania warg i powiedziała: — Drogi mistrzu, oto jest farba, którą potrafisz stworzyć arcydzieło nawet bez pędzla. Van Dongen zaintrygowany pomysłem owej damy, namalował jej portret otrzymaną kredką i rzeczywiście stworzył arcydzieło.

(g).



Domergue i van Dongen na plaży w Deauville. (Atlantic)



Dawny robotnik portowy, słynny twórca „portrait au baton rouge" van Dongen nigdy nie zapomina o morzu i okrętach, wprowadzając na każdem ze swych płócien motyw ze swego dawnego życia.



Domergue, portret Rosy Dolly, multimiljonerki amerykańskiej



Domergue, portret miljonerki Mrs Oven z New Jorku

Rozrywki umysłowe

ZADANIE.

R. Gostyński, Poznań

Świat Szachowy, 1929.



Mat w 3 posunięciach.

BILETY WIZYTOWE.

ułożył płk. inż. Fil-ski.

STAN MISZAY

OLEK ZRAJ

PROT ENSKI

M. AZORSKI

I. L. KNOT

K. N. AZYMUT

I .T. SAPANI

Z. I. K. SPELUNKA

TODEK RAR

IGOR SATAN

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób

NAGRODY

Za rozwiązanie biletów wizytowych przeznaczamy nagrody w postaci 5 książek beletrystycznych. Termin nadsyłania rozwiązań 25 września.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NRU 30.

Zadanie konikowe: „Alain Gerbault, największy żeglarz świata.

LOGOGRYF KRZYŻÓWKOWY:

Pionowe: 1) Rama. 2) Zima. 3) Wola. 4) Nuty. 5) Kabo. 6) Skra. 7) Apis. 8) Okoń. 9) Skok. 10) Anam. 11) Orka. 12) Mury. 13) Mord. 14) Rasa (wspak). 15) Muza (wspak). 16) Arab. 17) Obóz. 18) Edyl. 19) Szyk. 20) Adam. 21) Zizi. 22) Kino. 23) Kres. 24) Acys. 25) Mika. 26) Kama.

Poziome: A1 .Ozon. A5. As. A7. Pokarm. A13. Oaza. A17. Bez. A21. Ikra. A25. Ik. C1. Amator. C7. Sok. C10. Aar. C13. Damazy. C19. Kain. C23. Syam.

Wiersz „B" tworzy rozwiązanie:

Milutki konkurs urody dziecka.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr. 31.

N U R M I
N O W A K
E N G E L
B A R A N
B R A U N

NAGRODY

Za rozwiązanie zadań z Nru 30 nagrody otrzymują (w wyniku losowania) p. p. Stanisław Kamiński z Sulejówka, Czesław Kozłowski z Warszawy, Zofja Kreuzówna, Poznań, ul. 3-go Maja 5, Władysław Szaciłło z Drohobycza, Stefan Kamiński z Warszawy.

KRZYŻÓWKA.

Wyrazy poziome — Noc, Ela, Om, Ypres, Pułaski, Szukalski, Adam, Tres, Boa, Epos, Ulm, Turkot, Era, Ad, Imatra.

Wyrazy pionowe — Mops, Meta, Muza, Pud, Łut, Or, Noakowski, Sam, Om, Cykl, Buta, Pistol, Er, Kramer, Lenie, Ra, As, Sowa.

NAGRODY

za rozwiązanie zadań z Nru 31 otrzymują (w wyniku losowania) pp.: Zygmunt Tietz, Marja Liwska, E. Czajka, Łuniniec, Polesie, Jan Walatek z Częstochowy (Union Textile), Anna Hoszewska, Wieś Jasień, poczta Perehińsko.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NRU 32.

Wyrazy poziome: Potrza, Plagi, Ras, Et, Oczodoły, Cochet, Nizsa? (Nisza), Bo, Teo, Zad, Je, Aar.

Wyrazy pionowe: Proca, Lacoste, Paszcze, Go, Ohio. Tilden, Ot, Za, Eł, Bar, Antypod.

NAGRODY

za rozwiązanie krzyżówki z Nru 32 nagrody otrzymują pp.: Michał Wilga, Mieczysław Königsberg, Nina Czlenow z Warszawy, Zofja Sieradzka z Milanówka, H. Gawrońska, Gniezno Bank Polski.

Nazwiska jako rzeczowniki pospolite

Przyjęty jest zwyczaj, że o bardzo bogatym człowieku mówi się: — To Rotszyld! Jeszcze współczesna generacja dokładnie zna pochodzenie tego zwyczajowego porównania, bowiem wszyscy pamiętamy, że założycielem wielkiej dynastji bankierów, najbogatszych ludzi w Europie, był Mayer Anselm Rotszyld, z Frankfurtu nad Menem. Wszyscy również wiemy skąd pochodzi nazwa Baedeker.

Lecz są takie rzeczowniki pospolite, o których pochodzeniu niewielu ma dokładne pojęcie, mimo, że źródło powstania ich jest bardzo interesujące i wcale nie pospolite.

Oto, naprz. cały świat zna wielkie przedsiębiorstwa żeglugi i nawigacji, zwane „Lloydami". Szwedzki Lloyd, Brazylijski Lloyd, „Lloyd Triestino" i cały szereg innych przedsiębiorstw, mających związek z transportami wodnemi i noszących tę nazwę „Lloyd". Wyraz „Lloyd" jest niemal znany na całym świecie. Skąd się bierze ta nazwa?

Otóż w roku 1691, niejaki Edward Lloyd, założył w handlowej dzielnicy Londynu kawiarnię, odwiedzaną przez najlepsze warstwy społeczeństwa angielskiego. Aby zadowolić swoich stałych bywalców, Lloyd, wydawał specjalne pismo, nazwane „Lloyd News", które zawierało poważnie redagowaną część informacyjną o handlu i przemyśle. Ten dodatek specjalnie miał posłużyć za przynętę dla warstw kupieckich i przemysłowych. Po pewnym jednak czasie pismo to, ze względów politycznych, zostało przez władze zawieszone. Lloyd jednak, pragnąc wykorzystać doskonałe konjunktury i wielką poczytność swego wydawnictwa, zaczął wydawać nowe pismo pod nazwą „Lloyd List", poświęcone specjalnie sprawom żeglugi i nawigacji. To miało miejsce w roku 1726. Przemysłowy Lloyd, dzięki swemu wydawnictwu stykał się coraz częściej z właścicielami wielkich statków i okrętów, aż wreszcie sam stał się tego rodzaju przedsiębiorcą, prowadząc „Towarzystwo dla handlu i żeglugi".

W ten sposób, nazwisko właściciela kawiarni Lloyd, stało się rzeczownikiem pospolitym i przeszło do potomstwa.

Generał angielski, Sir Henry Havelock (1795 — 1857) wskutek cierpień artretyzmu, chronił się przed wilgocią w ten sposób, że nosił rodzaj płaszcza, czy peleryny, sięgającej dosłownie od kołnierza, przykrywającego uszy i nos, aż do kostek. Stąd do niedawna jeszcze znany u nas i popularny „havelock".

Admirał marynarki angielskiej, Vernon, miał to przeznaczenie, że nazwisko jego posłużyło z czasem za określenie pewnego napoju. Vernon nosił zawsze marynarkę ze specjalnego materjału, zwanego z angielska „Grogram". Podwładni jego, wykoncypowali stąd przezwisko dla Vernona „the old Grogram", lub w skróceniu „the old Grog". Gdy w roku 1740, Vernon, celem zwalczania opilstwa na jego okrętach, wydał zarządzenie, by jedyny, dozwolony majtkom przetwór alkoholowy, rum, był znacznie rozcieńczany gorącą wodą, napój ten natychmiast zyskał nazwę „grog".

Richard Tattersale, koniuszy księcia of Kingston, założył w roku 1766 na obszarze Hydeparku w Londynie specjalne przedsiębiorstwo dla wystawy, sprzedaży i kupna koni. Aby nie dopuścić do bezczynności wystawionych zwierząt, Tattersale wynajmował je pod wierzch i mogły być ujeżdżane na specjalnym w tym celu wynajętym terenie. Nazwisko Tattersall, jako pojęcie, znane jest dotychczas we wszystkich językach cywilizowanych narodów.

W ten sam sposób zyskało nieśmiertelność nazwisko Johna Montague, hr. Sandwich (zmarł w roku 1792), którego ulubionem jedzeniem był chleb z masłem i zimnem mięsem. Cały świat odziedziczył po hr. Sandwichu jego zwyczaj, który przetrwa bezwątpienia niejedno pokolenie.

Nie należy sądzić, że wymienionemi wyżej przykładami, szereg uwiecznionych przez zwyczaj nazwisk zostaje zamknięty. Życie teraźniejsze i przyszłe nasuwać i tworzyć będzie niejedno nowo w ten sposób powstałe pojęcie, które przejdzie do potomności i przejęte zostanie przez narody świata. Jedynie tylko historja powstania tego pojęcia, zblednie w wędrówce poprzez wieki, jak blednie i znika wszystko, na drodze uciekającego czasu.

(s.).

TEODOR DREISER. *(2)*

RĘKA

(Tłom. Dr. H. Bukowska).

To samo odnosi się do nałogowców, do wszystkich istot słabych, do ofiar zgubnych przyzwyczajeń. Duchy te, o błyszczących oczach czerwonych lub zielonych, gromadziły się jak muchy około tych ludzi, aby wydobyć z nich cokolwiek, może choćby cień wrażenia, przypominającego im ich poprzednie istnienie na ziemi.

Wszystko to było tak straszne i tak wstrząsające, zwłaszcza w tej chwili, (szczególnie teorja, że istnieją istoty nadziemskie, mogące popchnąć człowieka do morderstwa), że Dawidson nie mógł tego dłużej słuchać. Wstał i wyszedł. Ale na górze, w swoim pokoju, stojąc przed zwierciadłem, zastanawiał się nad temi teorjami. Nagle— nigdy tego nie zapomni — podczas gdy zdejmował kołnierz — usłyszał owe charakterystyczne „tak-tak-tak", wywoływane według Pringla przez zjawy, kiedy uderzają one o stół, w odpowiedzi na wezwanie, albo chcąc oznajmić swoją obecność.

Wówczas też odezwał się głos, tak wyraźny, jakby go słyszał naprawdę: „To ja, Mersereau. Przychodzę wreszcie, aby cię pochwycić. Pringle był tylko podstępem, którym się posłużyłem, aby ci zapowiedzieć moje przybycie. Taksamo jak ręka w starym domu hrabstwa Issaqueona. Była to moja ręka. Nie opuszczę cię już nigdy. Nie wyobrażaj sobie, że kiedykolwiek odejdę od ciebie".

To okropnie przeraziło i przyprawiło go niemal o chorobę, tak wielka była jego nerwowość Po raz pierwszy w życiu czuł zimne dreszcze, przebiegające wzdłuż kości pacierzowej, dreszcze grozy. Miał wrażenie, że ktoś stoi blisko niego, powodując nim — Mersereau napewno — ale nie słyszał i nie widział niczego, prócz stukania, zrazu lekkiego, które jednak z czasem stawało się coraz silniejszem, i zdawało się wyrażać gniew, gdy starał się nie zwracać na nie uwagi.

Było więc prawdą, że człowiek nie przestawał żyć po śmierci, zwłaszcza ludzie źli, może silniejsi od nas. Mogli oni powracać, straszyć nas, dręczyć, gdy mieli do nas urazę o jakąś krzywdę, wyrządzoną im przez nas. Nie było wątpliwości: w nadziei zemszczenia się Mercereau śledził go, przebywając tam, w świecie pozagrobowym, na granicy naszego świata, szedł w trop za nim, jak owe złe duchy, prześladujące człowieka, o którym opowiadał Pringle.

IV.

Luty, 1906.

Weźcie wypadek odcisku ręki w gipsie, o którym mowa była w artykule, czytanym u dentysty, tam, w Pasadenie, — ręki Mersereau, o ile mógł sądzić... Dziwny to zbieg okoliczności, nieprawdaż? — że wziął do rąk właśnie miesięcznik z tym niezwykłym artykułem, o materjalizacji psychicznej we Włoszech, powtórzonej potem w Bernie, gdzie zebrali się uczeni, aby badać zjawiska tego rodzaju. I to właśnie w chwili, gdy wytężał wszystkie swe siły, aby się uwolnić wreszcie od przeświadczenia, że rzecz taka może się zdarzyć. Według artykułu tego pewien starzec, żyjący we Włoszech, spirytysta, czy czarownik, czy coś w tym rodzaju, zgromadził grupę eksperymentatorów czy profesorów w opuszczonym domu na wyspie prawie bezludnej, w pobliżu Sardynji. Robili oni tam z duchami doświadczenia, które nazywali „materjalizacją" i na płycie szklanej, powleczonej sadzą, otrzymali odbicie palców ręki, samej ręki, przedramienia oraz jakiejś twarzy, przyczem płyta zamknięta była na klucz w małej, ogniotrwałej kasecie, umieszczonej na środku stołu, naokoło którego wszyscy byli zebrani.

Rzecz prosta, że on, Dawidson, nie rozumiał wcale, jak się te rzeczy dokonywały, nie mniej przecie były one faktem. W owem czasopiśmie oglądał jakie pół tuzina reprodukcji fotografji, przedstawiających rękę, przedramię i twarz, lub przynajmniej część twarzy. I jeżeli reprodukcje te były wogóle do czegoś podobne, to przypominały one żywo odpowiednie części ciała zmarłego Mersereau. Czyż Pringle nie oświadczył tam, w Gatchard, że duchy te mają zdolność przenoszenia się z miejsca na miejsce z szybkością światła i na dowolną odległość? I czy ukazanie się w Sardynji, a potem spowodowanie, by czasopismo z odbitkami wpadło w ręce Dawidsona, w Los Angelos, mogło przedstawiać dla Mersereau jakiekolwiek trudności? Bynajmniej. Duchy tam były wolne i potężne.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że te ręce, te częściowe odbicia twarzy należały do Mersereau. Świadczyły o tem olbrzymie wiązania, nos duży i garbaty i potężna szczęka, widoczne na zdjęciach. Czyjeżby były, jeżeli nie jego? Należały niechybnie do Mersereau i utrwalone we Włoszech, miały mu się ukazać tu, w Los Angelos. Tak było niewątpliwie. Ponura twarz, której podobiznę widział w miesięczniku, zdawała się mówić mu z dawnym drwiącym chichotem Mersereau: „Widzisz nie możesz mi się wymknąć. Udowadniam ci, jak jestem żywy, jak wówczas, gdy przebywałem na ziemi. I będę cię miał, gdybym nawet w tym celu miał iść o wiele dalej, niż do Włoch".

Miało to nadzwyczajny skutek. Nie chodziło o sam fakt zjawiska, ale o uporczywość, z jaką powtarzała się ta zjawa ręki. Co mogła ona oznaczać? Czy była to naprawdę ręka Mersereau? Co do twarzy, na reprodukcji widoczna była tylko jej część: szczęka, usta, policzek, lewa skroń i kawałek nosa i oka. Ale nie podobna się łudzić: był to Mersereau. Udał się aż gdzieś tam, do Włoch, do samotnego domu w głębi jakiejś wyspy, aby mu przesłać ten dowód nienawiści. A może to poprostu duchy, złe duchy, które uwzięły się go dręczyć, bo stał się nerwowym i wrażliwym?

V.

Październik, 1906.

Nowe hotele, pełne ludzi, niezapewniały mu ochrony, na którą liczył zrazu. Nawet tam nie był bezpieczny — bezpieczny przed zamachami człowieka takiego, jak Mersereau. Zdarzyło się n. p. przed niespełna dwoma miesiącami, najpierw w Los Angelos, a potem znowu w Seattle, że Mersereau zdołał spowodować przeraźliwy łoskot, przypominający wybuch czy zawalenie się czegoś, jakgdyby ktoś huknął z olbrzymiego worka papierowego nadymanego powietrzem, albo przewrócił szafę pełną szklanych przedmiotów, które się przytem potłukły. Tymczasem nic podobnego się nie stało. Pierwszych dwa lub trzy razy okropnie się przeraził, zdawało mu się bowiem, że stanie się zaraz coś straszliwego. Przekonawszy się, że nic się nie dzieje, i że to tylko sztuczki Mersereau, przyzwyczaił się wkońcu. Na nieszczęście jednak inni ludzie nie mogli się przyzwyczaić.

Siedzi on sobie, n. p. w swym pokoju, zupełnie spokojny, starając się rozerwać i nie myśleć o niczem, gdy nagle — ten okropny hałas. Było to w Los Angelos. Dziwna rzecz. Słyszeli go i inni. Jedna z pokojówek i szwajcar nadbiegli, pytając, co się stało, a on musiał powiedzieć, że nic nie słyszał. Ale nie uwierzyli, i poszli sprawdzić do innych pokojów. Za drugim razem dyrekcja, podejrzewając go o głupi żart, podniosła protest. Wyprowadził się więc, chcąc uniknąć wykrycia prawdy.

Po tych wypadkach nie mógł zatrzymać przy sobie ani służącego ani pielęgniarki. Służba odchodziła od niego, a zarządcy hotelów nie chcieli go trzymać, gdy awantury takie powtarzały się coraz częściej. A przecie nie mógł mieszkać w domu lub oddzielnem mieszkaniu, gdyż tam te hałasy i zjawiska nadnaturalne byłyby gorsze niż gdziekolwiek.

VI.

Czerwiec, 1907.

Albo ten stary dom, ostatni, w którym mieszkał, ale do którego nigdy już, nigdy, nie powróci, w Anne - Haven. Widział tam, widział na swoje własne oczy! — kształt, zrazu tak duży jak miednica, podobny do dymu, albo cienia krążący po ciemnym pokoju, dookoła łóżka i ponad niem. Gdy, leżąc nieruchomo, jakby pod wpływem zaklęcia, patrzył na ten kształt, obłok powoli zaczął zgęszczać się, aż stał się niemal dotykalny. Była to ręka, która przybrała teraz rozmiary normalne, — nie było pod tym względem żadnych wątpliwości, — i przesuwała się po nim lekko, bez żadnego nacisku, jak ręka widma, pozbawionego siły fizycznej, ale zato obdarzonego czemś dziwnem, jakimś fluidem elektrycznym, tajemniczym. Miał wrażenie, że ręka ta waha się, że chce się upewnić, czy jest on tu rzeczywiście.

Ręka albo przynajmniej to, co brał za rękę— Boże! — przesunęła się aż do jego gardła, i dotknęła go, podczas gdy leżał wyiągnięty. W tej to chwili odgadł zamiar Mersereau.

Było tak, jakgdyby palce czyjeś, tworząc koło z kciukiem, zaciskały mu gardło. Tylko, że narazie dotykały go tylko lekko, nie mogąc jeszcze uczynić mu krzywdy, gdyż nie posiadały siły materjalnej. Ale sam zamiar, i to uczucie dzikiej, okrutnej stanowczości, które mu towarzyszyło!

Gdyby jednak poradzić się specjalisty chorób nerwowych?

Co powiedziałby lekarz. Próbował już napomknąć doktorowi, że upada pod brzemieniem tych tortur, że nie może ani jeść ani spać z powodu tych wszystkich szmerów. Gdy jednak tylko najmniejszą uczynił aluzję do swych obecnych przeżyć, a zwłaszcza do tej ręki i hałasów, lekarz zawołał:

— Ależ to poprostu przywidzenie! Pan ma bardzo nadszarpnięte nerwy, prawdopodobnie na tle ostrej anemji, to wszystko. Trzeba się mieć na baczności. Niech pan przedewszystkiem wypędzi z myśli te wszystkie głupstwa Są one bezpodstawne.

Czegoż innego można się było spodziewać po specjaliście chorób nerwowych, ograniczonego w swych orzeczeniach do ciasnego koła rzeczy, o których wiedział, lub których się dotykał?

VII.

Listopad 1907.

W końcu jeszcze ostatnia awantura w Battle Creek, dokąd udał się niedawno, aby się wyleczyć pod wpływem panującego tam surowego rygoru. Czyż Mersereau, tem nieubłagany szatan, nie wystąpił niedawno z najnowszą swą sztuczką, która polegała na nadawaniu szczególniejszego smaku potrawom — albo przesycaniu ich odrażającym zapachem, by stały się niejadalne?

On, Dawidson, wiedział dobrze, że to sprawka Mersereau, czuł go bowiem u swego boku, ile razy siadał do stołu. Zresztą zdawało mu się dobrze, że słyszy coś niezwykłego — rozumiał obecnie, że to „jasnosłyszenie". — Nawet na takie rzeczy zdobywał się teraz jego prześladowca. Był to naturalnie Mersereau, który mowił do niego raczej wspomnieniem głosu, niż głosem rzeczywistym, głosem, o którym pamiętamy, że należał do kogoś, powiedzmy dziesięć lat temu: „Postarałem się, abyś już nic więcej nie mógł jeść, ty..." Następował długi szereg epitetów ohydnych, które same już mogły przyprawić człowieka o chorobę.

Od tej pory Dawidson, mimo iż wiedział, że potrawy były doskonałe, zawsze znajdował w nich smak albo zapach obrzydliwy i mimo wysiłków nie mógł przełknąć ani kęsa. Zarząd zapewniał go, że kuchnia jak zwykle była dobra, — sam zresztą wiedział o tem. Ale to odnosiło się do innych, nie do niego. Widział, jak jedli ze smakiem, a on jeść nie mógł. Musiał wstawać od stołu i wycho-

dzić, i nawet tej odrobiny, którą połknął, żołądek jego nie zatrzymywał. Jeżeli czasem mu się to udało, były to tak małe ilości, że nie mogły starczyć do utrzymania go przy życiu. Boże! umrze, jeżeli to dalej potrwa. Umrze z głodu powoli, i już właściwie zaczyna umierać.

Mersereau zdawał się być zawsze blisko niego. Gdyby nie owoce, które kupował świeżo z wystaw, albo chleb dopiero co wypieczony, który połykał śpiesznie, życie stałoby się dlań niemożliwem. Tak daleko zaszły te sprawy.

VIII.

Sierpień, 1908.

Sytuacja, jakkolwiek dostatecznie rozpaczliwa, jeszcze się pogorszyła. Najokropniejsze było to, że pod wpływem tego wszystkiego Dawidson umierał potroszę, powoli, lecz pewnie, i że Mersereau w końcu uda się wypędzić go z bytu ziemskiego, by zemścić się na nim na tamtym świecie. Cóż! Był obecnie osaczony przez jedną z tych sfor, opisanych przez Pringla, sfor, złożonych z istot żyjących na granicy tamtego świata a błąkających się po ziemi, podłych, występnych tworów. Dawidson znał je obecnie dobrze, takżamo jak ich praktyki. Widywał je nawet czasami.

Odkąd stał się tak słabym i przeczulonym, widywał często te istoty przeklęte, pływające w ciemności przed jego oczami, ile razy uległ potrzebie otoczenia się ciemnością, co zresztą zdarzało się coraz rzadziej. Byli to przyjaciele Mersereau, bez wątpienia, gotowi mu pomagać z czystej złośliwości.

Oddawna już Dawidson spał tylko przy świetle, gdziekolwiek się znajdował, poprzestając na zawiązywaniu oczu chustką, aby je uchronić przed blaskiem lampy. Ale nawet tak widział on te dziwne zjawy bezkształtne, podobne do chwiejnych, nitkowatych polipów, albo do kłębów gęstego dymu, koloru czarno żółtego, które poruszały się, zmieniając niekiedy kształt, nie tracąc jednak ani na chwilę swego wstrętnego wyglądu ani tych niesamowitych, rozlanych plam fosforyzujących, czerwonawych albo zielonawych, które im służyły za oczy. Można było oszaleć!

(D. c. na str. 20).

IX.

Październik, 1908.

Osiągnąwszy takie rezultaty, Mersereau bynajmniej nie zadowolił się i nie zostawił w spokoju swej ofiary. Dawidson dobrze o tem wiedział. Mógł obecnie od czasu do czasu rozmawiać z nim, przynajmniej mógł go słyszeć i odpowiadać mu, jeżeli miał ochotę, gdy był sam, i zupełnie pewien, że nikt nie podsłuchuje.

Ilekroć Dawidson słuchał — co nie zdarzało się zbyt często, — Mersereau zawsze mu mówił, że go w końcu dostanie, że mu się odpłaci, albo też wyrzucał mu zdradę i morderstwo.

„Zaduszę cię kiedyś!" Słowa te zdawały się płynąć ku niemu, nie jakby je słyszał, lecz niewiadomo skąd, jakgdyby przypomniał sobie, że Mersereau wypowiedział je niegdyś tym samym właśnie tonem, rozgniewanym i gwałtownym. A jednak pewne było, że słyszał je istotnie. „Zaduszę cię kiedyś. Nie możesz uciec przedemną. Pomyślisz może, że umierasz śmiercią naturalną, ale to nie będzie prawdą. Zatruwam każdy twój posiłek, aby cię osłabić. Nie możesz mi ujść. Dostanę cię, chorego czy zdrowego, gdy nie będziesz mógł się bronić, gdy będziesz spał. Zaduszę cię tak jak ty mnie zabiłeś uderzeniami żelaza w głowę. Nie jestem sam. Kilka razy już cię prawie pochwyciłem, ale zdołałeś wymknąć mi się odskakując, mocując się ze mną. Przyjdzie jednak dzień, w którym nie będziesz mógł się bronić. A wówczas..."

Głos chwilami jakby gasł w oddali, czasem nawet w środku zdania, ale kiedyindziej, — bardzo często — wypowiadał myśl do końca. W takich chwilach Dawidson odwracał się ku niemu i wołał: „Idź do djabła!" albo „Zostaw mnie w spokoju!" albo też „Zamilknij!" Nawet, gdy był sam jeden w zamkniętym pokoju, uwagi te brzmiały dziwacznie, wypowiadane pod adresem widma. Bywały jednak chwile, gdy nie mógł się od nich powstrzymać, tak był wzburzony. Uważał tylko, by nie wybuchać gdy ktoś był obecny.

Dochodziło do tego, że wkrótce jedynem dla niego miejscem mógł być szpital obłąkanych, często bowiem zrywał się nocami wyjąc. Był zmuszony wstać, tak wyraźne było uczucie, że pięść jakaś ściska mu gardło. W takich wypadkach, gdziekolwiek się znajdował, zawsze nadbiegał ktoś ze służby, aby zapytać, co się dzieje. Wówczas musiał opowiadać, że męczyła go zmora, ale zarząd hotelu zawsze wymawiał mu mieszkanie po drugim lub trzecim takim napadzie. Było to okropne.

Mógł wszak udać się do któregokolwiek z zakładów lub sanatorjów prywatnych, miał bowiem środki na to, i wyjaśniwszy, że cierpi na halucynację — halucynacje, wyobraźcie sobie! — poprosić, by się nim zaopiekowano. W miejscu takiem nikogo nie zdziwi, gdy nagle zerwie się jak oparzony, i zacznie krzyczeć po nocy, czując, że go ktoś dusi, albo, gdyby wstał od stołu, nie mogąc jeść, albo wreszcie, gdyby ktoś usłyszał, jak rozmawia z Mersereau.

Może nawet mieć osobny pokój i pielęgniarkę, gdyż za nic nie chciał być sam, przez czas dłuższy. Możnaby go tam powierzyć staraniom człowieka, który rozumie tego rodzaju sprawy, albo któremu mżnaby niejedno wytłómaczyć. Nie mógł już oczekiwać, że ludzie zwyczajni, albo hotele, w których mieszkają ludzie zwyczajni, dostosują się do niego. Mersereau i jego przyjaciele stawali się zbyt kłopotliwymi.

Trzeba było szukać zakładu, w którym zrozumianoby te rzeczy, albo przynajmniej, w którymby je tolerowano. W takim razie wszystko kładzionoby na kark przywidzeń obłąkanego, chociaż w rzeczywistości Dawidson nie był wcale manjakiem. Przeżycia jego były aż nadto rzeczywiste, ale cóż, kiedy ludzie zwyczajni, czyli, jak się to mówi, ludzie normalni, nie umieli ani widzieć, ani słyszeć jak on, i dlatego brak im było doświadczenia, które on posiadał.

X.

Grudzień, 1908.

Kłopot jest ten, panie doktorze, że pan Dawidson wyobraża sobie, że jest prześladowany przez złe duchy. Nie został on oddany pod naszą opiekę przez nikogo. Zgłosił się z własnej woli przed czterema miesiącami mniej więcej, i dlatego pozostawiliśmy w zakładzie zupełną swobodę ruchów. Stan jego jednak zdaje się pogarszać z biegiem czasu... Najgorszem jego przywidzeniem jest, że jeden z tych duchów usiłuje go udusić. Nasz lekarz naczelny, dr. Major rozpoznał u niego początki gruźlicy krtani, z chwilowemi kurczami spazmatycznemi. Na gardle chorego widać tu i ówdzie małe wypukłości i zgrubienia, które wyglądają tak, jakby były wywołane przez ucisk zewnętrzny. (d. c. n.)

Na progu życia

„...Dziwne i straszne są wyroki nieba — pisała Eliza Orzeszkowa. — Stworzony do szczęścia, otoczony pieszczotami rodziców, szczęśliwy w kolebce, szczęśliwy w dzieciństwie — człowiek widzi się nagle otoczonym czarnemi chmurami piorunów. Pierzchają wtedy urocze dumy młodości, znikają piękne, złote marzenia, i serce, pogrążone w boleści, nie widzi ratunku w przepaści, w którą wpada".



Do smutnych tych słów, wypowiedzianych u schyłku życia, wyciśniętych melancholją przykrych doświadczeń, załamaniem się ideałów o twardą ścianę rzeczywistości — dodaćby można, iż tem cenniejszemi wydają się nam w dojrzałym wieku wspomnienia o beztroskiem dzieciństwie, iż wiemy, że tak samo utraciliśmy szczęście, jak bezpowrotną jest młodość.

Wszystko aliści zależy od warunków, w których rozwijało się nasze życie. Ktokolwiek bowiem od najmłodszych lat zwykł nosić w sercu szczerą i prawdziwą radość życia, ten zawsze oprze się wszelkim przeciwieństwom — i ten musi zwyciężyć.

Od szczęścia, doznanego w okresie dziecięcym, zależy dalsze kształtowanie się charakteru. Nauczmy się patrzeć na dzieci, poznajmy je — boć to obowiązek silniejszego opiekować się słabym, a nauka zresztą nieskończenie wdzięczna.

Weźmy chociażby przykład z Japonji. Naród ten, u którego kult dziecka jako przedstawiciela przyszłej mocy i chwały Ojczyzny, stoi niezmiernie wysoko, może liczyć na nigdy nie słabnący rozwój społeczeństwa, hartownego, silnego, zdolnego na wszelkie wysiłki i poświęcenia.

„Niema takiego zatraconego człowieka w Japonji — pisze doskonały znawca Niponu, S. Łubieński — któryby poważył się uderzyć dziecinę. Idzie więc poważnie a wesoło poprzez zaludnione wsie i ryżem porosłe pola maleńki ten krasnoludek, gdyż czuje się wszędzie panem. Nazywają go zresztą od lat pieluszkowych „panem" lub „panną", ażeby wiedział odrazu, że nie wytworną jest zabawką swego kraju — krotochwilnem jakiemś stworzeniem, lecz choć niedorosłem jeszcze, lecz już obywatelem i obywatelką państwa, które mu daje pomoc i opiekę, póki o własnych siłach nie puści się w życie... W wagonie tłocznym siedzisz— wchodzi dziecko (a jest ich wiele, bardzo wiele) — ustępują mu stars. jednomyślnie najlepsze miejsce, sadzają je przy oknach, a one niewinnym swym szczebiotem uprzyjemniają podróż... W teatrze — jak świętojańskie robaczki — migocą wszędzie. Cichutko — jak makiem zasiał — siedząc podczas przedstawienia, lub, gdy je znużenie ogarnie, poprostu kładą się na wznak do góry wypasionym brzuszkiem, gdzie się da... W wielkich magazynach, na każdem piętrze przygotowane mają dzieci miłe posłanka, ażeby wypocząć mogły, podczas, gdy matki ich sprawunki czynią... Na ulicach ruch wielkomiejski gotów się wstrzymać, jeżeli zabłądziło tam jakie niedorosłe „kodomo", samo sobie krocząc godnie środkiem... szyn tramwajowych".

Wdzięczna, mała istoto, winniśmy tobie nieskończoną miłość, boś ty jest tem nowem ogniwem łańcucha, wieczną prawdą i wyższym celem istnienia, boś ty jest przyszłością, z nami złączoną, podobnie jak nas, teraźniejszych, wiąże do niebie przeszłość...

* * *

Pokój tonie w półmroku. Położnica tuli do swego łona nowonarodzone maleństwo.

Do kogo podobne? Oto pierwsze, klasyczne pytanie — dociekanie, czy maleńka ta istota ludzka (w której tyle jeszcze z małego zwierzątka!) nie ma rysów podobnych do jednego z rodziców, ba, więcej nawet, czy nie nosi już cech fizycznych całego rodu, włącznie do dziada i pradziada, jakgdyby wszyscy w jednej zrodzili się kolebce i kiedyś, w prawiekach, jedno ich wszystkich wyrzeźbiło dłuto.

A mała dziecina, królewiątko przepojone majestatem, na nikogo nie spojrzy (patrzy sobie wdal!), nie zważa na obecnych, aż zmęczone blaskiem, zamyka zdziwione oczka i zasypia beztroskie, śniąc o aniołkach. Bo o czemże by śniło, samo, do nieziemskiego jeszcze podobne zjawiska z za światów, ze stref, zamieszkałych przez aniołki...



Wobec licznie nadsyłanych listów, w których Czytelnicy podają swój wybór na najpiękniejsze dziecko, uprzejmie przypominamy, iż PLEBISCYT ROZPOCZNIE SIĘ DOPIERO PO ZAKOŃCZENIU KONKURSU. Wszelkie listy nadsyłane przed tym terminem, a tembardziej nie zaopatrzone w kupon, nie będą brane pod uwagę.

Sensacja

(Dokończenie ze str. 10-ej).

— Co ci to, Antku? Chory jesteś, czy co? Może popiłeś sobie za dużo wczoraj?

Zdawał się nie słyszeć. Przesunął ręką po czole, usiłując przypomnieć sobie coś ważnego.

— Numer na maszynie? — zapytał wreszcie zniżonym głosem, jakby w obawie, że go ktoś podsłucha.

— Już dawno — odparł Kucy. — Najlepiej zrobisz, jak pójdziesz do domu.

W olbrzymiej hali warczały maszyny. Antek stał, niby złodziej, przyczajony za filarem, ukryty do połowy przez stos stereotypów.

Nieprzytomny z bólu i rozpaczy, drapał paznokciami ścianę, wpijał wzrok napół oszalały w ogromne walce potwora, które obracały się w dzikim pędzie, niosąc światu wieść o jego straszliwej hańbie.

W zmowie z wrogami Ojczyzny — Zocha dopuściła się podłego czynu zdrady i kradła...

A potwór szczerzył doń czarne, przebrzydłe kły, natrząsał się z niego i ryczał, ryczał przeraźliwie wciąż jedno i to samo:

— Szpie-gówka! Szpie-gówka!

— Szpie-gówka! — wyło echo po sali.

— Szpie-gówka! — z chichotem szatańskim wtórowały inne potwory.

Antek zaciskał pięści, wił się w męce. Mgła zasłaniała mu oczy.

Nagle wyprostował się cały. W duszy jego powstały bunt i postanowienie niezłomne. Jednym susem stanął przy maszynie i zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, schwycił obok leżący młot, wcisnął się pomiędzy walce i grzmotnął w nie z całej siły.

Rozdzierający krzyk przedarł huk maszyny, którą natychmiast zatrzymano. Wyciągnięto Antka, zbroczonego krwią. U boku jego zwisała ręka zmiażdżona, martwa, zniekształcona.

Na wieść o nieszczęściu przybiegli ludzie.

— Co mu się stało? Dlaczego to zrobił?! — krzyknął dyrektor, trzęsąc się ze zdenerwowania.

Kucy pociągnął go na stronę.

— Ta szpiegówka z Paryża, to jego siostra — szepnął mu do ucha. — Poznałem ją z fotografji.

— Czy być może? — zdumiał się dyrektor. — Ta, o której tyle opowiadał?

— Ta sama.

W tej chwili podbiegł do nich zrozpaczony sekretarz.

— Biedny chłopiec! — zawołał z przejęciem. — Nie rozumiem, co mu się stało? Ale walnął, bo walnął. Stereotyp rozprysł się na kawałki. Właśnie ta nasza kolumna z sensacją! Raz, dwa, chłopcy! Wydobyć matrycę i odlać na świeżo!

— Niemożliwe, panie redaktorze — rzekł jeden z obok stojących. — Sam widziałem, jak Antek porwał ją na drobne części. Nie zdążyłem mu przeszkodzić. Zaraz potem pobiegł do maszyn.

— W takim razie matrycować po raz drugi, ale szybko! Numer będzie spóźniony, ale wyjść musi!

Wtem uczuł, że ktoś ścisnął go za rękę. Przy nim stał dyrektor i patrzył mu w oczy mocno, z niemą prośbą.

— Redaktorze. Ten nieszczęsny chłopak za cenę własnej krwi chciał ukryć hańbę swojej siostry.

Sekretarz zrozumiał.

— Okropne... — szepnął ze współczuciem i patrząc w stronę półomdlałego Antka, dodał głośno:

— Ta wiadomość nie pójdzie. Puścić kolumnę o wyborach w Ameryce.

Czy wiecie że...

...istnieje na świecie tylko jeden człowiek, który posiada swoje własne znaczki pocztowe i to od niedawna. Jest nim słynny podróżnik Swen Hedin, któremu rząd chiński wydał odnośne pozwolenie.

*

...jednym z najszybszych pociągów na świecie jest pociąg kursujący na przestrzeni Cheltenham—Londyn. Przestrzeń tę przebywa z szybkością 106 i pół kilometra na godzinę.

*

...znanym był dotychczas fakt nadawania odznaczeń bojowych ludziom. Obecnie jednak otrzymał Legję Honorową, Krzyż Wojenny oraz pochwałę pisemną — gołąb pocztowy, który przez przenoszenie meldunków z pod Verdun, niejednokrotnie dopomagał sprzymierzonym do wybrnięcia z fatalnych sytuacyj.

*

...najwyższe kominy fabryczne dochodzą do wysokości 120 m. Kominy fabryki naszej Związków Azotowych pod Tarnowem są wysokie na 114 m.

*

...najdroższy kapelusz na świecie posiada jeden z urzędników amerykańskiej stacji radjofonicznej. Kapelusz ten zrobiony jest wprawdzie z zwykłej słomki panamskiej, lecz pokryty jest autografami najwybitniejszych przedstawicieli świata politycznego, artystycznego i naukowego i został oszacowany na 10 tysięcy dolarów.

*

...spalanie amoniaku z powietrzem odbywa się najlepiej na platynowej siatce. W budującej się obecnie fabryce Związków Azotowych pod Tarnowem mają być umieszczone podobne siatki, do których wyprodukowania użyto siedemnaście kilogramów platyny. Na 1-ym centymetrze podobnej siatki znajduje się około 3000 oczek.

*

...najbardziej zadymionem miastem na świecie jest Chicago. Jak podają obliczenia opada w obrębie tego miasta dziennie 1200 cetnarów pyłu.

*

...kary na niesumiennych kupców istniały już od bardzo dawna. Czytamy że jeszcze w roku 1481 karano surowo za fałszowanie masła, mleka, sprzedaż zepsutych jaj i t. p.

Drobiazgi ze świata

AMERYKAŃSKI TRICK REKLAMOWY

Dyrektor pewnego kina w Chicago, wystawiając nowy film, rozesłał dużą liczbę zaproszeń, przyczem do każdego zaproszenia załączył czek na 4 centy „płatny na okaziciela przy kasie". Zaproszenie brzmiało następująco:

„Szanowni Państwo! Według moich obliczeń, koszt uczęszczania Państwa do mojego kina wynosi przeciętnie 15.000 dolarów rocznie. Ponieważ Państwo są napewno tego samego zdania co i ja, że czas — to pieniądz, zrealizujcie załączony czek na 4 centy, który wam wynagrodzi czas stracony przy odczytywaniu napisów, fascynujących i bezsprzecznie wspaniałych scen, w mającym się ukazać w moim kinie, nowym superfilmie tego rocznej produkcji. Premjera w przyszłą środę".

Pan dyrektor okazał się świetnym psychologiem. Tego rodzaju reklama, kosztująca tylko 4 centy od jednego widza, opłaciła się tysiąckrotnie, ponieważ każdy z ciekawością poszedł oglądać nowy film.

Inny znów trick reklamowy nowego filmu zastosował dyrektor pewnego kina w Milwaukee. Mianowicie, pewnego dnia, na wszystkich rogach ulic i na szybach wielu okien sklepowych rozlepiono olbrzymie ogłoszenia:

„Potrzeba jest 500 kotów. Zgłoszenia do administracji Royal — kino. Za jednego kota płaci się dwoma bezpłatnemi biletami wejścia".

W całem mieście rozpoczęło się polowanie na koty. W przeciągu niespełna 3-ch godzin 500 kotów miauczało w lokalu Royal - kina.

Następnie do ogona każdego kota przywiązano długą wstążkę z jaskrawo namalowanym napisem.

OD PIĄTKU: WIELKI, SENSACYJNY FILM P. T. „KOCI PAZUR".

Koty z przywieszonemi wstążkami puszczono na wolność, przyczem przerażone zwierzęta rozbiegły się po całem mieście, urządzając prawdziwą kocią muzykę.

Nie trzeba dodawać, że dowcipna reklama zrobiła swoje.

DRĘCZĄCY POWÓD

Podczas jednego przyjęcia, na którym był również znany aktor filmowy Werner Kraus, jedna z dam, namiętna jego zwolenniczka, chciała mu koniecznie powiedzieć jakiś komplement.

— Pan jest wielkim artystą, panie Kraus. Będąc na ostatnim filmie, w którym pan grał człowieka bardzo nieszczęśliwego, podziwiałam z zachwytem jak się panu mieniła twarz pod wpływem głębokiej boleści.

— Ach! tak. Przypominam sobie. Miałem wtedy na nogach nowe buty, które mnie wściekle cisnęły.

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

TEATR

WIELKI

dn. 12 b. m. Faust z Nocą Walpurgij.

dn. 13 b. m. Cyrulik Sewilski.

dn. 14 b. m. Halka

dn. 15 b. m. Straszny dwór.

dn. 16 b. m. teatr nieczynny.

NARODOWY

Codziennie: Wiosna Narodów (w cichym zakątku).

LETNI

Codziennie: Proces Mary Dugan.

POLSKI

Codziennie: Artyści.

MAŁY

Codziennie: Koniec pani Chevney.

MORSKIE OKO

Codziennie: Rewja p. t. Zabawki dla Warszawki.

QUI - PRO - QUO

Codziennie: Rewja p. t. Gabinet figur wo(j)skowych.

RADIO - OGRÓD PHILIPSA

(Mazowiecka 9)

Codziennie oprócz poniedziałków koncert — dancing od godz. 5 — 22-ej.

DOLINA SZWAJCARSKA

(ul. Szopena)

Codziennie koncerty gigantofonów Marconiego i rewja „Złota Jesień" początek o godz. 6 wieczorem.

KALENDARZYK TYGODNIOWY

15 N N.M.P. Bolesnej.
16 P Euzebji.
17 W Stygmy św. Franc.
18 Ś Józefa.
19 C Januarjusza.
20 P Eustachjusza.
21 S Mateusza.

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

Słońce w.	Słońce z.	Księżyc w.	Księżyc z.
5 9	17.54	17.40	0.43
5.10	17.52	17.58	1.59
5 12	17.58	18.12	3.16
5.14	17.48	18.24	4.32
5.16	17.46	18.37	5.49
5.17	17.44	18.49	7.7
5.19	17.4	19.1	8.2

KALENDARZYK HISTORYCZNY

17 września 1660 r. — zwycięstwo nad moskalami pod Cudnowem.

18 września 1253 r. — papież Innocenty IV podpisał akt kanonizacji biskupa Stanisława.

20 września 1492 r. — koronacja Jana Olbrachta

21 września 1699 r. — Turcy oddali Polsce Kamieniec Podolski.

PREZES RADY MINISTRÓW GRECJI VENIZOLES NA P. W. K.

Jak donoszą z Aten, prezes Rady Ministrów Grecji p. Eleuterios Venizelos w tow. pp.: wiceministra Achillesa Panadatos i Augustyna Papadatos przyjedzie do Poznania na Powszechną Wystawę Krajową bezpośrednio po zakończeniu się sesji Ligi Narodów w Genewie, około dnia 21 września. Przyjazd ministra Venizelosa na P.W.K. jest wielkim sukcesem Wystawy.

W CHINACH O POLSCE Z OKAZJI WYSTAWY POWSZECHNEJ W POZNANIU.

„Kuo-tsi-hie-pan", — takie imię nosi jeden z największych dzienników Mandżurji, — umieścił 22 czerwca wielki artykuł o Polsce i jej rozwoju.

Publicysta chiński, ująwszy pokrótce dzieje Polski, pisze, iż w dziesięciolecie swego istnienia Polska dokonała syntetycznej pracy przez urządzenie w Poznaniu wspaniałej wystawy, obrazującej rozwój ekonomiczny kraju i jego dalsze perspektywy.

KINO

Filharmonja: „Serce nie sługa" z Billie Dove

Apollo: „Miłość kozaka" z Renée Adorée.

Światowid: „Zapomniane twarze" z Olgą Bakłanową.

Pan: „Djablica z Trypolisu" z Lianą Haid.

Hollywood: „Zmysły w kajdanach".

Colosseum: „9 25".

Quo Vadis: „Serce nie sługa" z Billie Dove.

Casino: „Miłość kozaka" z Renée Adorée.

Splendid: „Cesarskie klejnoty" z Georgem O Brien.

Stylowy: „Marynarz słodkich wód" z Buster Keatonem.

Wodewil: „Królowa Jego Serca" z Lianą Haid.

Capitol: „Djablica z Trypolisu" z Lianą Haid.



W krwi każdego Anglika leży namiętność do podróży. To też nawet młodzi chłopcy każde święto poświęcają na wycieczkę podmiejską

Śmiejmy się...



Zasłużona radość po pracy. Fot. Slinks



Wbrew temu co się słyszy o ponurych i krwawych przygodach legji cudzoziemskiej dzielni legjoniści znajdują czas na wesoły uśmiech

„Śmiech to — zdrowie". Hasło to jest stale i wytrwale głoszone w Stanach Zjednoczonych.

Duży wpływ w dziedzinie propagandy śmiechu wywołały, w swoim czasie, wywody profesora uniwersytetu w Ohio, Dicka Mac Hamour'a, który postanowił radykalnie wyleczyć zniechęconą do życia, zesmutniałą ludzkość za pośrednictwem śmiechu.

Profesor Mac Hamour ogłosił obszerne dzieło, które zawiera cały szereg ciekawych spostrzeżeń i rad.

Zdaniem tego oryginalnego dla nas uczonego, każdy człowiek, już od najwcześniejszego dzieciństwa, powinien być stale namawiany i niejako prowokowany do śmiechu.

Śmiać się powinien stale, jaknajwięcej i jaknajszczerzej. Począwszy od rana, kiedy się wstaje z łóżka, przed i po śniadaniu, chodząc po ulicy, czy jadąc tramwajem, lub taksometrem. Przed obiadem i po obiedzie, w biurze, w warsztacie, u siebie w gabinecie, przed kolacją, ...i tak aż do snu. Człowiek powinien zwłaszcza dużo się śmiać przed udaniem się na spoczynek, bowiem tylko wtedy ma, zdaniem profesora Mac Hamour'a, zapewniony zdrowy i smaczny sen, pozbawiony jakichkolwiek przykrych widziadeł.

Mac Hamour twierdzi, iż czem śmiech jest silniejszy, bardziej beztroski, tem człowiek jest zdrowszy i tem więcej ma energji życiowej.

Zdaniem amerykańskiego uczonego żadna, najbardziej forsowna kuracja, przeprowadzana celem uzdrawiania chorego organizmu, żaden sport, najskrupulatniejsza higjena, walka z nadmiernem używaniem alkoholu czy nikotyny, nie przyczynia się tak dodatnio do zlikwidowania ludzkich dolegliwości jak właśnie... śmiech.

Bo słusznie dowodzi profesor Mac Hamour, że człowiek, któremu cokolwiek dolega, nie potrafi śmiać się, a w każdym razie śmiać się radośnie i beztrosko.

Oryginalny propagator śmiechu poza własnemi spostrzeżeniami, swe wywody opiera na głośnem dziale Hecker'a p. t. „Fizjologja i psychologja śmiechu".

Autor tego dzieła twierdzi, że śmiech bywa najczęściej mimowolnym, zupełnie niespodziewanym odruchem, który odbywa się zwykle wtedy, kiedy uwaga nasza odwrócona jest od naszego ciała.

Nawiązując do tego, Mac Hamour, trafnie dowodzi, że osoba, która ma być pobudzona przez nas do śmiechu, winna być zaskoczona. Mięśnie zwłaszcza przepony brzusznej, wprawiane są w intensywniejszy ruch przez wybuch niespodziewanego śmiechu. Podobny wstrząs ciała, pobudza krew do szybszego krążenia i, przyczyniając się niejako do tworzenia nowych ciałek krwi, sprzyja jednocześnie zwalczaniu przez organizm szkodliwych substancyj chorobotwórczych.

Dopiero wszakże odpoczynek po śmiechu, tworzy właściwy proces zdrowotny, przysparzający sił wesołemu osobnikowi.

Dowiedzionem jest skądinąd, że można opanować śmiech. Dlaczegóżby nie można sztucznie go wywołać?

Różne są sposoby sztucznego wywołania wesołości, a do najpewniejszych należy zwykłe... łechtanie.

Można też bardzo łatwo zarazić się śmiechem. I trzeba naprawdę wyjątkowo kostycznego osobnika, któryby potrafił ustrzec się przed epidemją śmiechu.

Metoda Mac Hamour'a spotkała się w Stanach Zjednoczonych z bardzo życzliwem przyjęciem. Powstało mnóstwo szkół, których zadaniem jest, uczenie śmiechu. W szkołach tych wykładają liczni profesorowie a sale wykładowe odznaczają się niezwykłym wyglądem, wszystkie bowiem ściany przybrane są humorystycznemi rysunkami i dowcipnemi karykaturami znanych osobistości. Na długich stołach leżą stosy pism humorystycznych całego świata, a specjalne jazz-bandy czy skromne radjo-aparaty przygrywają skoczne melodje podczas trwania wykładów.



Na plaży w Palm Beach niema ludzi smutnych



Zdrowie i śmiech to największy skarb człowieka

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sladowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż 2 szpalty — jako 3 szpaltowe.

Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. **Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN** **Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.**

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 172-22 i 117-98.